BIBLIOTEKA

najciekawszych

Powieści i Romansów.

Tom XX.

LWÓW.
Nakład Spółki Wydaw. „Biblioteki najciekawszych Powieści i Romansów.“
Czcionkami Kornela Pillera.
Główny skład w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie
przy placu św. Ducha l. 43.
1871.

Piękna Pani.

Powieść - Studium

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Mulieri ne credas, ne mortuae quidem.
Zapleśniałe przysłowie.

LWÓW.
Nakład Spółki Wydaw. „Biblioteki najciekawszych Powieści i Romansów."
Czcionkami Kornela Pillera.
Główny skład w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie
przy placu św. Ducha l. 43.
1871.

Pamiętam, że pierwszy raz w życiu miałem szczęście oglądać Syrenę, na trzewiku przywiezionym z Warszawy, w głębi którego z tarczą w ręku i mieczem w dłoni, to bojowniczo-kuszące godło stolicy, pół kobiety, pół ryby, nadzwyczaj mi się dziwnem wydało.

Byłem naówczas małem chłopięciem, ale niezmiernie ciekawem znaczenia każdej nowej dla mnie rzeczy, i Syrena ta mocno mię zaintrygowała. Nie mogłem zrozumieć, dla czego się tak przybrała do boju, uzbroiwszy w miecz i tarczę, mając ten głos uroczy i śpiew czarodziejski, od którego stary Ulisses uszy sobie zatykał, aby sile jego nie uledz.

W samej też bajce o Syrenach, którą z powodu tego trzewika studjować musiałem w podręcznej mitologii, nie bardzom sobie zdawał sprawę z tego namiętnego prześladowania biednych majtków, których śpiewem i pokusą morskie owe bóstwa wiodły na śmierć w otchłanie. Młodemu tak trudno pojąć chęć szkodzenia, i uczucia, które

nie są miłością, a tchną nienawiścią i zdradą! Dość, że ta Syrena warszawska na długo była dla mnie zagadką, i wiek dopiero późniejszy odkrył mi tajemnicze znaczenie tego mythu, w którego utworzeniu wielki udział mieć musiały kąpiące się u brzegów Sorrentum piękne dziewczęta, z szczęśliwej krainy wielkiej Grecji. Z pieśnią na ustach, z wieńcem na skroni, wabiły one żeglarzy uśmiechem, i nieraz majtek, który statek opuścił dla pocałunku i śpiewu, już nigdy się na lądzie, ani na łodzi nie pokazał. Wiedziały o nim morskie tonie i greckie dziewczęta tylko... a morze tak niezgłębione, a płoche Greczynki tak mają pamięci mało!

Wyznaję, że znacznie później, gdym już Syrenę zrozumiał, bom się po świecie spotkał z niejedną, choć żadna mię na Scyllę i Charybdę nie zawiodła, nie mogłem jednak zawsze wytłumaczyć sobie, dla czego warszawska tak była uzbrojoną; wpadałem na myśl, że to musiała być staruszka zachrypła, której uścisku niktby dobrowolnie nie przyjął. Tymczasem nie dostrzegłem, że te godła dodane warszawskiej Syrenie, młodej i pięknej, jak widzimy na wodotrysku Starego Miasta, miały i mają głębokie znaczenie. Malują one tę namiętność dziwną, niepojętą, chciwą hołdu i czci, pragnącą ofiar i męczarni, któraby była niepojętą w kobietach, gdybyśmy się z nią dzień w dzień nie spotykali.

Od widzenia owego warszawskiege trzewika z Syreną, do dzisiejszego dnia, gdy już na trzewiki nie patrzę, upłynęło dobrze... kilkadziesiąt lat; wiele się rzeczy zapomniało, o wielu przestało myśleć. Kilkanaście miesięcy temu przyjechałem znowu do Warszawy, i już bez ża-

dnego wzruszenia, bez ciekawości nawet spoglądałem na Syreny przy wodotryskach poustawiane, gdy mi to godło znowu na pamięć przywiodła bardzo smutna historja.

Z czasów moich szkolnych znalazłem tu towarzysza, którego mi się w życiu nieraz spotykać wydarzyło. Zawsze się mu wydziwić nie mogłem, z jaką siłą, zdrowiem i niewyczerpaną młodością dźwigał na sobie brzemię tych kilkudziesięciu lat, które mnie coraz bardziej ciężyły. W różnych epokach mojej i jego wędrówki po świecie, los nas zbliżył jakby dla tego, byśmy po twarzach swoich mogli obliczyć upływające lata. On znajdował mnie różnie zmienionym, ja zawsze unosiłem się nad tą spokojną marmurową twarzą, na której śladu nie było ani zmartwień, ani zawodów, ani dosyć przykrego położenia towarzyskiego. Przywykłem bowiem z opowiadań i doświadczeń, stan nauczycieli domowych uważać za jeden z najobficiej goryczą zaprawionych chlebów. Tymczasem mój Wojtek, tak go bowiem od szkół nazywaliśmy, zdawał się zupełnie szczęśliwy, choć guwernerował od niepamiętnych czasów. Zmieniał dość często posady; trafiały mu się różne domy i ludzie, ale z zapasem niewyczerpanej wesołości i wytrwania, przechodził przez próby ognia i wody, nie draśnięty nawet maluczko.

Jużem był całkiem o niego spokojny, bo mi się przyznał ostatnią razą u Lursa na herbacie, gdym ja go chciał przyjmować, a on się uparł płacić za mnie, że wcale się miał dobrze, i kilkadziesiąt tysięcy złożył w listach zastawnych.

Z przygód jego po dworach i dworkach, z panami, paniami i panienkami, śmieliśmy się z nim wesoło; a że

Wojtek był poczciwego serca, bez goryczy więc umiał opowiadać nawet o tem, co go bolało, urazy nie chował pod poduszkę, i cierpką nienawiścią nie zaprawiał wspomnień swoich.

Umilała je szczera wesołość, która śmiejąc się z wad ludzkich i ułomności, zachowuje w głębi miłość dla ludzi, litość dla ich wad i słabostek. Lubiłem bardzo słuchać opowiadań Wojtka, który swój żywot i przygody malował w sposób tak żywy i zajmujący, że się człek nie rad z nim i powieścią jego rozstawał.

Nie wszyscy powieściarze mają takie szczęście. Ostatnim razem szedłem właśnie na przedstawienie *Sędziwoja* czy *Szlachectwa duszy*, i byłem już pod kolumnadą teatru, gdy naprzeciw siebie postrzegłem kroczącą powoli postać, która mnie jakby znajomemi uderzyła rysy.

Był to człowiek nie młody, o kiju, blady, zgięty w pół i wlokący się powoli; oczy jego jakby szklanne wlepiały się we mnie uparcie: stanąłem... Przypomniał mi się Wojtek, alem prędzej przypuszczał, że mnie podobieństwo dalekie łudziło, niż żeby to on być miał. Przed niewielą miesiącami widziałem go wesołym, swobodnym, żartobliwym, dziś starcem i widmem stał przedemną.

— Ale to nie on! — rzekłem sobie — to nie może być on.

— Jakto? i ty mnie już nie poznajesz — odezwał się głosem wątłym i słabym — i ty?

— Cóż się z tobą stało? na Boga! — krzyknąłem — Wojtku? tyż to jesteś?...

— Ja, ja! albo raczej cień i upior twojego starego przyjaciela! Patrz co się ze mną stało, — dodał — nieprawdaż, zmiana wielka, okrutna! Z młodego — starzec! z szczęśliwego i spokojnego — ruina i gruzy, których nikt nie odbuduje! Ha! piorun uderzył we mnie!

I łzy miał w oczach mówiąc, a wyrazy połykał, drżał jakby od zimna, choć aż nadto było gorąco.

— Dokąd-że idziesz? — spytałem.

— A ty?

— Do teatru!

— Ha! choć mnie to nie bawi, bo cóż mnie by zająć dziś mogło, pójdę i ja z tobą...

— Chodź! tak poczciwa rozrywka, jak teatr, choremu nie zaszkodzi.

— Ale ja chory nie jestem! — zawołał Wojtek.

Niezmiernie zdumiony spojrzałem na niego, bo widocznie z twarzy, z oczów, z osłabienia, kaszlu, groźna się objawiała słabość.

— A cóż ci jest?

— Co mi jest! Mówiłem — dodał — piorun, piorun uderzył we mnie!

— Wypadek jaki?

— Najpospolitszy w świecie... ale pokazuje się, że najzahartowańsi w końcu ranieni być muszą.

— Zmiłuj się, z tego wszystkiego nic zrozumieć nie mogę.

— I ja nie rozumiem siebie! — odpowiedział biedny Wojtek.

Wtem weszliśmy do teatru, i usadowiwszy się w krzesłach, nie mieliśmy już czasu mówić z sobą. Wojtek

ledwie spojrzał na scenę, nie wiem czy słuchał aktorów, tak był pogrążony w sobie. Uważałem tylko, że ilekroć przypadły sceny uczuciowe i głos kobiecy dał się słyszeć, podnosił głowę, wlepiał oczy, a potem spuszczał je, jakby przypomniawszy coś sobie.

Po ostatnim akcie wziąłem go pod rękę, bom uważał, że mimo laski trudno mu było na nogach się utrzymać; przeprowadziłem go przez tłum, obojętnego i milczącego, i na ulicę wyszedłszy spytałem, gdzieby mu pójść było dogodniej; do mnie do Angielskiego hotelu, czy do jego mieszkania.

— A nie — oparł się — do mnie nie pójdziesz... stoję Bóg wie, gdzieś na strychu... w dziurze, a trzeba mi wypocząć.

— Chodź więc do mnie, — rzekłem, — ale dla czego stoisz tak daleko i niewygodnie?

— Bo nie mam za co inaczej.

— Miałeś przecie przywoity fundusik; stałżebyś się skąpym?

— Ja? — roześmiał się — nic nie mam, przyjacielu, żyję z przepisywania, a to lichy zarobek; com miał straciłem do grosza.

— Jakim sposobem?

— A! to jeden akt mojego dramatu! — rzekł śmiejąc się — czy może tragedji mojej! — poprawił się po chwili.

Niezmiernie ciekaw i zajęty jego losem, wprowadziłem go do mojego mieszkania, i nie nacierając o opowiadanie, bom się obawiał, aby ono zbyt przykrego na nim nie zrobiło wrażenia, i nie rozdrażniło go więcej

jeszcze, począłem mówić o rzeczach obojętnych, starając się go jakoś rozweselić. Nic jednak nie skutkowało: Wojtek siedział, uśmiechał się, ale widocznie niczem się nie zajął, jakby miał w sobie coś, nad wszystko go obchodzącego. Próbowałem teatru, miejskich plotek, dziennikarstwa, literatury, kobiet wreszcie, o których dawniej chętnie rozmawiał; ale dziś to wszystko obijało się o jego zdrętwienie, nie czyniąc żadnego wrażenia.

Gdym mu jął opowiadać jakąś miejską historyjkę, świeżo właśnie puszczoną w obieg, do której wchodziła kobieta, nie dał mi jej dokończyć i zawołał wstając żywo z krzesełka:

— Co chcesz? to są Syreny! zawsze Syreny!

A! — rzekłem w duchu — w tem wszystkiem jest na pewno kobieca sprawa; ale dziwna rzecz, by człowiek, co lat czterdzieści opierał się wszelkim pokusom, miał wreszcie tak się dać złamać jednej słabej córce Ewy. Wielce ciekaw historji, nie nalegałem jednak na Wojtka; podano nam herbatę, i zdziwiłem się mocno, gdy mimo widocznej gorączki i stanu chorobliwego, zażądał do niej jamajki. Jako gospodarz nie śmiałem odmówić, a bałem się mu zadość uczynić; spytałem, czy to nie zaszkodzi.

— Jeśli myślisz, że rum zaszkodzi, to każ mi dać wódki — odparł stanowczo.

Wojtek dolał pół szklanki nadpitej herbaty, i po chwili milczenia, gdy mu lica kraśnieć zaczęły, powoli transfigurował się widocznie. Nabrał siły wzbudzonej sztucznie, twarz mu się zarumieniła, oko błysło, głos wzmocnił, wstał i począł się żywo przechadzać.

— Przed tobą — rzekł po chwili długiego dumania — ja nie mam tajemnic; trzeba ci wreszcie wytłumaczyć, zkąd i jak padł ten piorun na mnie, który mnie zabił. Słuchaj więc, nie przerywaj, nie dziwuj się, nie lituj, aż dojdziemy do końca.

Usiedliśmy, kazałem drzwi zamknąć dla wszystkich, a Wojtek tak mówić zaczął:

— Widziałeś mnie przed kilką, kilkunastą miesiącami, młodym, rzeźwym, spokojnym o przyszłość, i tak już ostrzelanym ze światem, żeś nie mógł obawiać się o mnie: nieprawdaż? A jednak patrz, co się stało ze mną! Nie zabiła mnie ani obelga, ani krzywda wyrządzona, ani strata uczuta zbyt gorąco: proste głupstwo własne, wówczas, kiedym powinien był już być życiem tak uzbrojony przeciw podobnym wypadkom, że one mnie dotknąć nie mogły.

Właśnie gdyśmy się widzieli z sobą, byłem na bruku warszawskim jako swobodny człowiek, który jednę pracę ukończył, a drugiej szuka. Rozstałem się z radcą N... u którego lat kilka spędziłem na wsi; przygotowałem mu synów i z szacunkiem rozstaliśmy się, nawzajem się żałując.

Wedle swojego zwyczaju starego, przyjechałem do Warszawy, aby nieco odpocząć; mówiłem ci kiedyś, żem zawsze sobie między jednem a drugiem zobowiązaniem dawałem takie wakacje.

Spoczynek ten, świat nowy ożywiały mię, myśl znużoną rzeźwiły i sprawiały, żem potem prawie tęsknił do pracy, do której rzucałem się z zapałem. Nie spiesząc więc wyszukać sobie nowego miejsca, a ufając, że mi

je łatwo moje stosunki nastręczą, swobodnie chodziłem po Warszawie, ciesząc się ulicznym ruchem, bawiąc ogródkami, rozkoszując teatrem i muzyką. Czas mi spływał doskonale, a żem miał wiele nowości do czytania i rozpoczętą pracę literacką, już mi się prawie odechciało starać o posadę, i miałem zostać w Warszawie, gdy jeden ze starych moich przyjaciół, w którego domu kilka lat spędziłem, sędzia W... przybiegł do mnie dodnia zdyszany, widocznie z jakąś błogą wieścią, którą twarz jego promieniała.

— Słuchaj, Wojtek — rzekł — trafia ci się szczęście.

— A no! — rzekłem — byle tylko dobrej próby, nie jestem od tego.

— Posada wyśmienita, idealna, ludzie, jakich może nie ma drugich na świecie; jeden trochę pieszczony dzieciak do wychowania, i dziesięć tysięcy złotych rocznie. Że to są nawet trochę moi krewni (bom przez kobiety z nią samą w koligacji), nagadałem im o tobie... i gwałtem cię mieć pragną.

— A! — rzekłem — kochany sędzio, nie bardzo ci jestem wdzięczen za przesadzone pochwały; skutek ich zawsze jeden. Ideał odmalowany tak *con amore*, nie odpowiada danemu o nim pojęciu.

— No! no! to już moja rzecz; ubieraj się i idź ze mną.

— Jak to? tak zaraz!

— W tej chwili! natychmiast; a że jest prześliczna pani, jak anioł piękna i jak Salomon rozumna, ogól się, ustrój i staraj się pokazać, żeś nie pedagog rogaty i suchy, ale człowiek z pierza i z mięsa.

— Przestraszasz mnie! — odpowiedziałem — ale cóż mi tam do pani!

— A, podobać się jej musisz, od niej naturalnie zależy tam wszystko. Mąż nie pospolity i zacny człowiek, ale próżniak, i znalazł najwygodniejszem, zdać na nią sprawy domowe. Szczerze powiedziawszy, dobrze zrobił; bo jeśli nie ona, to wziąłby je pierwszy z brzegu, i byłoby gorzej daleko.

Zacząłem go rozpytywać o dom, o dziecię, i dowiedziałem się tylko, że ludzie bardzo bogaci, dobrze wychowani, a chłopak zdatny, ale trochę pieszczony. Prawdę powiedziawszy, zgubiła mnie brzydka pokusa tych dziesięciu tysięcy rocznie, z których dwie trzecie myślałem pewnie oszczędzić. Wiesz, co to jest chleb nauczycielski, i jak trudno na nim zapewnić sobie grosz na starość: jam zawsze chciał dowieść, że to rzecz możliwa, i pragnąłem kiedyś uzbierać tyle, by sobie siąść spokojnie w mieście, nad książkami i nauką odpocząć. Naznaczył mi sędzia godzinę, i stawiłem się na nią, by poznać hrabinę, hrabiego, i dom dla mnie dotąd zupełnie nawet ze słuchu nieznany. Przypadkowo tylko byli w Warszawie, ale zajmowali przepyszny apartament w domu Skwarcowa, i wszystko oznajmywało zaraz, na jakiej przywykli byli żyć stopie. Wielka liberja, kamerdynerowie, dwór liczny, pokoje wspaniale przybrane na pobyt chwilowy... niemal mnie olśniły, choć z natury wcale bojaźliwy nie jestem.

Zaszliśmy najprzód do hrabiego, który mi się nawet podobał. Piękny bardzo mężczyzna, twarzy pełnej łagodności i dobroci, przystępny i miły, nie miał w sobie

nic odtrącającego: trochę tylko znać w nim było zużycie i zobojętnienie, właściwe ludziom, co wszystkiego używali i nadużyli. Poznałem w nim jednego z tych synów wieku, wycieńczonych i sceptycznych, dla których równie ciężko znaleźć zabawki jak bodziec do ruchu... Mimo młodego jeszcze wieku, zdawał się zupełnie ostygły, i dbały tylko o pewne formy i nałogi życia: reszta mało go obchodziła. Lubiał dobrze jeść, wygodnie mieszkać, mieć przyzwoite towarzystwo, unikać zajść i wszystkiego, coby spokój zamącić mogło; nikomu nie uchybił, urazy puszczał mimo, nie chcąc i wiedzieć ni słyszeć. Zresztą, umysł nie nazbyt wzniosły i brak energji, zastępował polorem i wykształceniem znakomitem. Można go było wziąć czasem za nie pospolitego człowieka, tak łatwo sobie cudze pomysły przyswajał, tak trafny czynił w nich wybór i przystosować je umiał. Namiętności w nim nie było żadnej, bo nic nie brał gorąco; potrzeb i zachceń mnóstwo, ale to co mu wczoraj fantazja wystawiała jako nieuchronną potrzebę, nazajutrz stawało się mu już obojętnem. Rzadko dwa dni kochał jedno... W ogóle nie mógł się nie podobać. Przyjął mię z grzecznością największą, prawie poufale, i od razu ośmielił sposobem, w jaki mnie traktował.

— Co się tyczy naszego syna, — rzekł uśmiechając się, — już to rzecz mojej żony: ona panu lepiej rozpowie, jak jego wychowanie pojmuje, czego zażąda dla niego... Spuszczam się w tej mierze na nią, a że mam słuszność, przyznasz mi, gdy ją poznasz.

To mówiąc, zadzwonił, i posłał spytać hrabiny, czy jest widzialną. Kamerdyner oznajmił nam, że się

ubiera jeszcze, ale w kwadrans potem poproszono do salonu.

Hrabia spojrzał na zegarek, była to właśnie godzina jego przejażdżki konnej i nie mógł jej poświęcić dla syna; zapewniwszy więc mnie, że co się tyczy wychowania jego, spuszcza się na instynkt macierzyński, i sprowadziwszy chłopaka, aby mi go pokazać, w chwili gdyśmy szli do hrabiny, kazał sobie podać konia.

Dzieciak prześliczny był, jak anioł, z oczu mu patrzyła roztropność nad wiek może rozwinięta, ale zarazem znać było, że się nie wychował w salonie, i że trochę usunięty na bok, musiał być nieco rozpieszczony i zaniedbany.

Z nim razem i z sędzią udałem się przez szereg pokojów długi, do saloniku przyćmionego, w którym czekała na nas hrabina.

Wojtek wstrzymał się chwilę, głowę spuścił i westchnął.

— Teraz — rzekł — gdy mi przychodzi odmalować ci pierwsze moje spotkanie z tą kobietą, siły mnie opuszczają. Nie! nie potrafię ci jej tak dobitnie przedstawić, tak żywo, tak prawdziwie jakbym chciał. Nie idzie tu o stronę idealną, ta łatwiejszą być może, ale o oryginalność tej kobiety-syreny, o jej charakter, o typ, jaki ona przedstawia.

Już nie potrzebuję ci mówić, że jak zjawisko niebieskie była piękną. Tę piękność, o której doskonale wiedziała, podnosiło jeszcze wszystko, co ją w najżywszem świetle, w największym blasku okazać mogło. Strój, mieszkanie, meble, kwiaty, ludzie, sztuka służyli jej za

narzędzie, do dźwignienia na ten piedestał bóstwa ziemskiego.

W pierwszej chwili nie widziałem tego; głębsze dopiero poznanie dziwnej istoty, wszystko to mi odgadnąć dało. Wyznaję, że przechodząc szereg salonów strojnych, wiodących do tajemniczego przybytku, w którym panowała królowa, jużem w dziwny sposób rozlanem w nich powietrzem i wonią usposobiony był do uwielbienia.

Ludzie chodzili na palcach, atmosfera przejęta była wyziewem nieznanym mi, a przenoszącym w lepsze jakieś światy. Wszystko tu tchnęło poezją, spokojem, rozkoszą, rzekłbym miłością. Zazwyczaj śmiały, zbliżając się do saloniku, który w dali i głębi ukazywał mi się przyćmiony, uczułem jakieś anormalne bicie serca, które mnie już o niebezpieczeństwie ostrzedz było powinno. Przypisałem to jednak tylko światu nowemu dla mnie, w którym się znajdowałem.

W chwili, gdyśmy wchodzili do salonu, na progu ujrzałem wymykającego się zeń, dobrze mi znanego doktora Ferreti, Włocha nazwiskiem tylko i trochę twarzą, najpiękniejszego mężczyznę, jakiego mi się kiedy widzieć trafiło, sławnego ze swych w wielkim swiecie podbojów sercowych i śmiałości w obejściu z kobietami, który właśnie żegnał panią domu, jeszcze dla nas zakrytą, z miną tak pomięszaną i zbiedzoną, żem już nie wiedział co myśleć.

Głos jej dźwięczny, srebrny, śmiały, niezmiernie pociągający i dziewiczego dźwięku, istny głos czarownicy-syreny, poprzedził widok oblicza, które się jeszcze we

mgle salonu chowało. I o ile Ferreti był zmięszany i zbity, o tyle głos ten znowu wesół się zdawał i swobodny, jakby opiewał już odniesione zwycięstwo.

— Ale pamiętajże doktorze, — mówiła hrabina, — jutro o dziesiątej potrzebuję cię, proszę, czekam, nie zapominaj!

Doktor mruknął coś tylko i co najprędzej wyniósł się za drzwi, zapewne abyśmy nie dostrzegli pomięszania na jego twarzy.

Mój przewodnik wszedł pierwszy, i ten sam głos, nie zmieniając wszakże wyrazu ni siły, począł go tak serdecznie witać, jak przed chwilą żegnał odchodzącego.

— A! jakżem pana widzieć pragnęła! Otóż to, co się zowie przyjaciół dobrych, starych swoich zapominać przyjaciół! Dwa dni! całe dwa dni! Doprawdy, to zasługuje na gniew, na karę nawet!

Wchodziłem właśnie na te słowa. Sędzia już musiał coś powiedzieć o mnie, hrabina umilkła, a oczy moje w półcieniach salonu, ujrzały zarysowującą się jej postać, która powoli, jak zjawisko jakie, wychodziła z mroków i stawała coraz wyraźniejszą.

Mamże ci ją opisywać? czyż nie zgadniesz, jaką była ta dziwna i niezrównana istota? Wyobraź sobie coś idealnego... piękną i wyniosłą postać, kibić dziewiczą, białość marmurową, kształty, któreśmy przywykli zwać arystokratycznemi, choć niekoniecznie jednej tej rodziny są udziałem, a na ramionach cudownych głowę brunetki, głowę Wenery z Milo, o rysach regularnych, greckiego dłuta, z oczyma czarnemi, wielkiemi, pałącemi, pokrytą bujnym, kruczym warkoczem. Czoło wyniosłe, białe, ro-

zumne, usta różowe i pełne uśmiechu, świeżego, naiwnego prawie, rękę białą i wydelikatnioną: słowem coś zachwycającego.

Dodaj do tego, że kobieta znając się czarownicą, dbała widać o to, by świat cały padał przed nią, bo nawet poranny jej strój zdradzał niezmierne staranie i chęć zrobienia wrażenia. Każda cząsteczka najmniejszego jej ubioru była tak przybraną do całości, by w niej miała jakieś znaczenie, by podnosiła ją, świeciła, lub jaśniejszem coś czyniła.

Na kruczych włosach miała śpilki koralowe, powpinane tak, aby zarysowywały owal czoła i czarniejszemi jeszcze czyniły warkocze. Szlafroczek jej tyftykowy ze sznurami jedwabnemi, tiulowa suknia pod nim, rękawy lekkie, pospinane wstęgami dobranych kolorów, bransoletki, pierścienie: wszystko cudnie ją stroiło.

Ale też piękną była, jak nikt nie bywa na świecie, zabójczo piękną Syreną. Zdawało się, że człek na nią ludzkiemi oczyma patrzeć nie godzien.

Pokój musiał być, jeśli nie budowany dla niej, to urządzony umyślnie... Posadzkę wyścielał dywan przepyszny, ściany ubierało obicie doskonałe tłem i rysunkiem dobrane do niego, meble poustawiane zręcznie, zdradzały rękę umiejętną i uczucie artystyczne... W jednym kątku był za kozetką jakby klomb z kwiatów, o liściach szerokich i bujnych gałęziach, pod których zielenią spoczywając, cudnie się wydawać musiała. Zresztą nie było kącika, w którymby coś nie zwracało uwagi i nie przemawiało do myśli. Główny stolik przed kanapą pełen był książek ślicznie oprawionych, pism perjodycznych i

listów świeżo poodbieranych, dalej leżały klejnociki różne i sprzęcik kobiecy wytworny, uderzający fizjognomią niezwyczajną; na innym stały w bogatych oprawach miniatury i fotografie, portrety znać ludzi, bez których widoku hrabina obejść się chwili nie mogła. Na kanapce bogato oprawna rozłożona księga nabożna i opalowy różaniec świadczyły o jej usposobieniu religijnem...

Ale potrafięż ja to opisać, choć dziś jeszcze tak mi ów salonik jest przytomny, jakbym z niego nie wychodził; nie, nie! dosyć gdy powiem, że to była rama rzeźbiona, w której oprawiono portret najpiękniejszej w świecie kobiety!

Czarne jej oko spoczęło na mnie, długo, badająco, i dreszczem przestrachu jakiegoś przejęło mnie do głębi. Przed tym wzrokiem Sybilli, królowej, czarownicy, anioła, spuściłem oczy jak student, onieśmielony i strwożony. Niewiele brakło, bym z salonu uciekł; uczułem się w jej obliczu tak małym, drobnym, biednym, żem się przeląkł śmiałości, z jaką wszedłem do tej poświęconej jej kaplicy...

Nie wiem co się stało potem ze mną, jak usiadłem, jak dalece okazałem się śmiesznym i niezgrabnym, bom się dopiero przebudził, gdy wesoły, świeży, pewien siebie, głos jej znowu mi się dał słyszeć.

Nie wiem czyś to uważał, że bardzo piękne kokiety, pospolicie ufne w siłę wdzięku, którym ich Bóg obdarował, dosyć zaniedbują wykształcenie swe umysłowe, i że większa przynajmniej część ich nie odznacza się tą wyższością, którąbyśmy widzieć w nich chcieli, jako dopełnienie arcydzieła.

Za pierwszem słowem, które hrabina wyrzekła, wiedziałem już, że z niepospolicie wykształconą kobietą, z umysłem męzkiego hartu i siły się spotkałem. Tak bowiem, jak umiała otoczyć i uwydatnić piękność swoją, również starała się zaraz pokazać z wyższością, nauką, dowcipem. Olśniony zostałem nadzwyczajnie.

Z powodu wychowania syna, dotknęła najważniejszych kwestji, i zadań tyczących człowieka, i w kilkudziesięciu wyrazach umiała mi dać poznać, że czytała, co o tem najsławniejsi pedagogowie pisali; przywiodła ich opinie, niektóre z nich usunęła, do zbytku podniosła inne, wysypała imion niezmiernie wiele, i w pierwszej chwili ulękłem się tej erudycji, której dna nie mogłem dostrzedz, tak wartko płynął potok.

Mówiąc wciąż, patrzyła na mnie, uśmiechała się do sędziego, poprawiała włosy, bawiła się nożykiem od książek, i jakby to wszystko razem nie starczyło jej jeszcze do zaprzątnienia umysłu nienasyconego, spoglądała z ukosa na rozłożony zeszyt, wielkim i bujnym zapisany charakterem, w którym postrzegłem poezje!...

Przemazane w kilku miejscach wiersze dowodziły, że nie były przepisywane, że ona sama była poetą.

Nie postrzegłem wówczas, że jak salon, tak wystawa umysłowych przymiotów i płodów, zbyt widocznie była przygotowaną na pokaz, i zdradzała niezmierną, pożerającą miłość własną... Nie miałem czasu odpowiedzieć ani słowa, takim potokiem uczuć, zdań, myśli, cytat, brzmiały jej prześliczne usta, tak żywo przechodziła z przedmiotu do przedmiotu, muskając je zaledwie, a umiejąc dowieść, że je poznała głęboko. Zaledwiem się

zebrał na słowo, już mi się wyślizgnęła, przechodząc na inną drogę i uciekała w kraj nowy.

Nareszcie jakby znużona, podparła się na ręce białej i cudnie utoczonej, długie swe paluszki wplotła w warkocz, jakby go poprawić chciała, i dopuściła mi się odezwać. Przyznaję, że serce mi biło z mojemi prostemi wyrazami wychodząc na scenę, po tym fajerwerku olśniewającym; alem chłodno i rozważnie wypowiedział jej szczerze, jakie miałem idee o wychowaniu, ludziach i świecie. Nie wiem jak to się stało, że się one niezbyt od jej wyobrażeń różniły; kto wie, czy czarodziejski jej wpływ w głowie i na wargach nie przemienił mi najulubieńszych myśli, bom już czuł, że na mnie podziałała bardzo silnie. Słuchała zrazu bardzo uważnie, biorąc niby miarę mojego umysłu, ale w prędce, przerwała potem parę razy potwierdzająco i zeszła z tej poważnej rozmowy, na zupełnie lekką i światową, oświadczając z jakąś zalotnością dziewczęcą, że rozprawy i sądy o świecie potrzeba zostawić mężczyznom.

Tak w ciągu rozmowy mieniła mi się ciągle, żeśmy jej z sędzią nadążyć nie mogli.

— Zdaje mi się, — rzekła po chwili z uśmiechem wdzięcznym, — że my się z panem Albertem zgodzimy; zresztą ja, jak się pan przekona, — dodała obracając się do mnie, — wcale nie jestem uparta, daję się przekonać łatwo i ustępuję rada, bylebym w umyśle czuła się zwyciężoną.

— A ja, — odezwałem się, — chętnie zastosuję się w rzeczach, które wbrew przekonaniu memu nie są

przeciwne, do woli pani. Matka ma zawsze instynkt najlepszy, gdy chodzi o jej dziecię.

— Nieszczęściem, — odpowiedziała, spuszczając oczy i wzdychając, — my skazani na utrapiony żywot tego, co pospolicie zowią wielkim światem, tracimy ten instynkt. Żyjemy gorączkowo, nienaturalnym trybem, w ciągłem rozprószeniu ducha, w nieustannych rozdrażnieniach serca: ledwie mamy czas być na chwilę matkami. Przytem ja, — dorzuciła, — poszłam młodo za mąż, tak mało czuję w sobie powagi macierzyńskiej, tak jestem niedoświadczona!

Słowa te były widocznem zapukaniem do mnie po komplement, i wywołały też z mej strony podziwienie szczere nad znajomością najmniej dla kobiety przystępnych zasad pedagogiki. Hrabina się uśmiechnęła, sędzia dołożył:

— Pan nie wiesz jeszcze, że nie ma dla hrabiny przedmiotu, któregoby poznać i zgłębić się nie starała; przekonasz się później.

Laura uderzyła białą rączką dłoń przyjaciela, jakby nie kontenta z pochlebstwa i przerwała mu żywo:

— Proszę cię, nie chwalże tak bardzo biednej kobiety; prawda, że nienasyconą mam żądzę nauki, że najmilszem dla mnie zajęciem jest książka, nawet zwykle kobietom niedostępna, bom się już z nudów i fizyki i matematyki uczyła po troszę, ale to u mnie gorączkową potrzebą zajęcia tylko.

Spuściła oczy i westchnęła; trzeba się było domyśleć koniecznie, że jakiś brak w życiu, jakaś czczość w sercu były powodem do rozwinienia tak dziwnych pragnień. Ja pojąłem tylko, że nie jest szczęśliwą, że tę-

skni, że w sercu jej pozostał dotąd jakiś kątek niezajęty i z głupotą dwudziestoletniego dzieciaka ucieszyłem się tem wyznaniem.

— Są tak nieszczęśliwe istoty, — dodała hrabina zaraz, — którym nie wystarcza pospolita dana przez Boga człowiekowi miara uczuć, zajęć, cierpień; nawet ja, — szepnęła ciszej, — ja może do nich należę. Naówczas, jak ulubiony wierzchowiec hrabiego, który gdy mu zabraknie owsa, żłób swój wygryza, my gryziemy drzewo i kamienie...

Tyle było tęsknoty, poezji i wdzięku w jej głosie, wyrazach i postawie, gdy słów tych domawiała, żem się uczuł zachwycony. Znać na mej twarzy dobitnie wyraziło się to uwielbienie i współczucie, bo piękna pani rzuciwszy na mnie okiem pełnem niezbadanych tajemnic, uznała, że dość wlała już smutku w napój, który mi podała, i nagle przeszła do wesołości, której sprzeczność z poprzedzającą melancholją była nowym urokiem. Poczęła żartować z sędziego, opowiadać wczorajszego balu wrażenia, krytykować dowcipnie stroje kobiet i ich piękność, napomykając o niezrozumiałych dla mnie drobnych wypadeczkach stolicy. Jak wprzódy poezji, tak teraz w wyrazach jej tyle było dowcipu, lekkości, swobody, żem się wydziwić jej i nasłuchać nie mógł.

Wprawdzie znać trochę było chęć popisu, powiększoną zapewne widocznem wrażeniem, jakie czyniła na mnie; ale to jej przychodziło tak łatwo, tak naturalnie, z takim to spełniała taktem, żem wybaczył cień ów przesady, i zapomniałem o czasie. Wychodząc po go-

dzinnej rozmowie, czułem się jakby rozmarzony gorączkowo i pijany.

Sędzia choć znacznie starszy odemnie, choć obyły z hrabiną, którą znał od dzieciństwa, zdawał się jednak doznawać tego co i ja wrażenia; siedział jak przykuty, nie śmiejąc ruszyć się ni odezwać, w twarzy jego malowało się uwielbienie i zachwyt, jakby chciał upaść na kolana przed bóstwem, które mu się uśmiechało tak wdzięcznie i poufale, żem jego starości prawie pozazdrościł.

Bylibyśmy może oba w tym salonie zamieszkali dłużej niż potrzeba i przyzwoitość pozwalała, gdyby nowi goście nie przypomnieli nam, iż pora odejścia dawno wybiła; ruszyliśmy więc z żalem, rozstając się z panią domu, która nas, nawet mnie, żegnając jak starych przyjaciół, podaniem ręki, zaprosiła obu tegoż dnia na objad, dla dłuższego ze mną pomówienia. Rzuciłem tylko okiem na gości, z którymi mijaliśmy się w progu; byli to dwaj młodzi ludzie, z rodzaju swojskich lwów, ufryzowani, ubrani wytwornie, sfrancuziali jak należy, których hrabina serdecznie, nazbyt może poufale powitała, i zaraz za nami rozległ się srebrny jej uśmiech, który mnie przykro, boleśnie jakoś dotknął. Zrozumiałem intuicyjnie, że w tym świecie grzeczność przybiera pozór poufałości, która do niczego nie obowiązuje, i jest zdawkową monetą powszednią. Sędzia wyszedł równie jak ja zamyślony i smutny prawie.

Nie mówiłem ci jeszcze o nim, ale i on należy do tych nieszczęśliwych moich dziejów; muszę ci go choć z profilu odmalować. Człowiek to był stary, sześćdziesiątletni może, siwy już, ale świeży jeszcze jakąś resztką

młodości, rumiany, przystojny, czerstwy ciałem i umysłem, łagodny aż do śmieszności, dobry aż do pobłażliwości, serdeczny aż do zbytku może, bo nie umiał młodości zapomnieć, i cisnął się do towarzystwa kobiet, wśród których smutną grał rolę spóźnionego wielbiciela. Ze wszystkich jednak pań, którym składał hołdy, nosił nuty i książki, i dobierał włóczki, hrabina stała u niego najwyżej, najgłębiej w sercu; mówiono z przekąsem, że się w niej kochał, czemu ja dotąd wierzyć nie chciałęm, tak mi się to śmiesznem wydawało. Dziś uwierzyłem w to zupełnie zobaczywszy Laurę, pojmując, że nawet miłość bez żadnej nadziei, okrywająca śmiesznością, była dla niej możliwą.

Stary sędzia był u nich jakby domownikiem i sługą; używał go nie oszczędzając dom cały: sama hrabina, pan hrabia, dzieciak, ludzie nawet, a stary był najszczęśliwszy, gdy im mógł się przydać, czas i grosz oddawał z ochotą, biegał, dowiadywał się, kupował, zastępując doskonale ogólnego plenipotenta i totumfackiego dla wszystkich. Miał za to zdobyte już prawa wchodzenia o każdej godzinie, siedzenia i słuchania czarodziejki jak długo mu się podobało, ściskania i całowania białych jej rączek, okrywania białych jej ramion mantylą, którą za nią nosił jak paź — niestety! srebrno-włosy!! Czasami gdy był niepotrzebny, wyprawiała go do drugiego pokoju i przywoływała uśmiechem najczulszym, tak, że zapominał wyrządzonej sobie krzywdy, gderała nań potroszę i niecierpliwiła nim, ale jedno wejrzenie płaciło potem zaległości i długi.

Stary był szczęśliwy.

Gdyśmy wyszli na ulicę, pochwycił mnie zaraz pod rękę.

— A cóż? — zapytał — jakże ci się dom podobał? Nieprawdaż? anioł! anioł nie kobieta!! Ten człowiek jej nie wart: nigdy on pojąć i ocenić tego skarbu nie potrafi. Na klęczkach trzeba być przed nią. A! gdybyś ją poznał lepiej — dodał — co to za serce, jaka dobroczynność, ile poświęcenia, jaka skromność dziewicza, co za rozum i talenta! A z tem wszystkiem jest to najnieszczęśliwsza kobieta!...

— Nieszczęśliwa! ona? — spytałem zadziwiony.

— Czyżeś męża nie widział?! — zawołał sędzia poruszając się coraz bardziej — jestże w stanie ten najzimniejszy z ludzi, zaspokoić pragnienia duszy i serca tak wzniosłej istoty!...

I podniósł ręce w górę, z wyrazem rozpaczy je załamując.

— Uwierzyłżebyś, — dodał schylając mi się do ucha — że ten człowiek szuka sobie za domem rozrywek: ma kochanki! bałamuci się niewiedzieć kim! A! to niepojęte, to okropne, mając takiego anioła.

Zamilkliśmy na chwilę, starzec był rozogniony i drżący.

— Uczciwy zresztą i dobre człeczysko w innych razach, — dodał poprawiając się — dość dla niej nawet delikatny, ale dziwnie, niepojęcie obojętny i zimny jak posąg. A jak ona to znosi, jaką jest dla niego, jak go pielęgnuje, jak jest czułą żoną i matką, choć rozranione serce niechęć i nienawiść miećby powinno. To anioł, powiadam ci, to anioł!

Sędzia długą swą litanję pochwał zawsze kończył tem jednem wyrażeniem, które dlań zamykało w sobie wszystko; a mówiąc tak był przejęty, że łzy miał w oczach biedny staruszek.

Nie mogąc się dość nagadać, raz wszedłszy na ten przedmiot, odprowadził mnie aż do domu, i zasiedział się z godzinę, rozpowiadając całe życie hrabiny, wedle tego, jak je znał i pojmował; a żem go słuchał z żywem zajęciem, bo mnie ta kobieta silnie ku sobie pociągnęła, zapuścił się więc w szczegóły, które dla mnie były miarą uczucia, jakie nawet w ostygłych i wyżytych ludziach wzbudzić mogła.

Obraz, jaki mi kreślił, był smutny i poetyczny, ale sędzia stworzył go sobie z materjałów od samej bohaterki czerpanych, przyjętych z zupełną dobrą wiarą, i wyidealizował jeszcze wszystko, co ją męczennicą uczynić mogło, podnieść i w świetle najsilniejszem postawić.

Laura urodzoną była, jak mi opowiadał, w domu dawniej magnackim, i pochodziła z jednego z najstarszych w kraju rodów; ale jej rodzice nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności stracili prawie wszystko, a dzieci w domu było sześcioro. Ostatnia wieś, przy której, opłaciwszy długi zostali, ledwie starczyła na pozór dostatecznego życia, pełnego frasunków i tajonych niedostatków, które dawnego bogactwa resztki okrywały wspaniałością nadrobioną. Matka Laury, tak piękna jak ona, miała być kobietą równie wykształconą i znakomitą, równie też zapoznaną i nieszczęśliwą; ojciec dość pospolity hulaka i zagorzały myśliwiec, częściej w lesie

niż w domu przebywał. Młody hrabia przypadkiem spotkawszy na polowaniu ojca, zaproszony do domu, poznał tu Laurę ledwie wychodzącą z dzieciństwa, i otrzymał łatwo rękę wyrostka dziewczęcia, które w ślubie widziało tylko nowe stroje, powóz, konie i tytuł hrabiny. Zrazu mąż kochał ją zapamiętale, ale jak wszystko u niego, namiętność przeszła prędko, pozostał chłód, przyszła obojętność i znudzenie. Właśnie w chwili, kiedy ona rozkwitała całym blaskiem piękności, uczucia i rozumu, hrabia oddalił się od niej zupełnie; pozostał grzecznym, ale zimnym i jakby obcym. Spotykali się tylko w salonie, na zabawach i u stołu, resztę czasu spędzał osobne sobie tworząc zajęcie i towarzystwo. Laura uczuła tak głęboko, ale żeby nie obwinić męża w oczach ludzi, musiała udawać szczęśliwą, wesołą, zajętą światem i rozrywkami.

Sędzia utrzymywał, że w smutku tym chwytała się gorąco książki, muzyki, nauk, a nie mogąc się zaspokoić, rzuciła się w wir zabaw i ludzi. Świat naturalnie przyjął ją pokłonem i oklaskiem; stworzoną była aby królować. Rozwinęły się w niej nadzwyczajne talenta, umysł wymężniał, dowcip zaostrzył, i jednogłośnie przyznano jej palmę pierwszeństwa, gdziekolwiek się ukazała, nie tylko na prowincji, w stolicy, ale w Paryżu, w Londynie, Wiedniu i Dreznie, gdzie długo podróżując bawiła. Mąż bardzo był rad oddanej żonie jego sprawiedliwości, ale go do niej bynajmniej nie zbliżyło.

Wszędzie, gdzie się ukazała, otaczał ją rój wielbicieli, szalenie zakochanych, napastniczo goniących za nią po świecie, czcicieli namiętnych, którzy ofiarowali

się życie dla niej poświęcić; wszystkich jednak umiała się pozbyć to dowcipem, to surowością, to obojętnością chłodną, karcąc najmniejsze słowo wejrzeniem, które wystarczało przeciw najnatarczywszym, tak było silne. Zresztą, jak sam sędzia wyznał, hrabina nie gardziła hołdami, lubiła się może nawet do zbytku otaczać tłumem, wabiła często niepotrzebnie ku sobie młodzież i co tylko znakomitszego spotkała; ale to tłumaczył tem, że czczość życia musiała czemś wypełnić. Widać było, że miał nieco za złe tę pozorną lekkość, z jaką często nierozważnie pociągała ku sobie ludzi, którzy ośmieleni, komplementowali ją swemi szałami; ale wszystko to, powiadał sędzia, dowodziło tylko jej naiwność i czystość serca, które złego widzieć i domyśleć się nie chciało.

Słuchałem tej powieści z gorączkowem zajęciem jakiemś, które zjednało mi łaskę w oczach starego, a powinno było ostrzedz mnie przed niebezpieczeństwem, bôm ze zbytnią już chciwością badał, i słuchałem zbyt namiętnie wszystkiego, co z nią jakikolwiek miało związek. Nie postrzegłem naówczas, że uczucie silne, nieznane mi rodziło się już w sercu.

O piątej popołudniu sędzia wyświeżony, wyelegantowany, choć znowu czegoś dosyć smutny, przyszedł zabrać mię z sobą na objad.

Gdyśmy weszli do saloniku, hrabiego nie zastaliśmy jeszcze, bo się przebierał, wróciwszy z przejażdżki, ale już kilku było gości. Jeden z nich był zrana spotkany lew, którego znalazłem na ciasnej kozetce przy pani w cichej, poufałej rozmowie. Dla mnie, ze światem tym i obyczajami jego nieoswojonego, to zbliżenie się, szepty,

uśmiechy, które złapałem w progu, dziwnemi się jakoś wydały. Laura nazwała go jednak zaraz swoim kuzynem, i mniej mnie to już raziło; wytłumaczyłem sobie poufałość familijnemi interesami.

Wkrótce nadszedł także doktor Ferreti, a za nim gospodarz domu z twarzą spokojną i chłodną człowieka, którego świat nie wiele obchodzi, byle jemu było na nim jak najlepiej i najwygodniej. Przywitał lwa, sędziego i mnie bardzo uprzejmie, podał dwa palce żonie i usiadł na fotelu, dopominając się, aby coprędzej do stołu dawano. Lew-kuzynek porzucił na chwilkę hrabinę, która poczęła znowu szeptać coś doktorowi, i przysiadł się do gospodarza, zabawiając go koniarską rozmową.

Pani domu, wśród tej gromadki swoich wielbicieli, gdyż wszyscy oprócz męża mogli się tak nazwać śmiało, cudów prawdziwie dokazywała, umiejąc się między wszystkich rozdzielić, dla wszystkich być miłą, każdemu dać słowo, uśmiech, niedostrzeżony ruch pełen wdzięku, powitania, skinienia. Ze sztuką prawdziwie kobiecą, ale ze swobodą zupełną, obracała się w tym kółku, niezapominając o nikiem, dla wszystkich będąc równie miłą i uprzejmą.

Oczy jej biegały, z jednego na drugiego się przenosząc, z coraz odmiennym wyrazem, usta śmiały się do każdego inaczej, twarz nawet mieniła się dziwnie, zwracając z kolei ku każdemu. Rozmowa też, którą prowadziła i kierowała, świetna, jaskrawa, dowcipna, dziwiła wielostronnością tonu, przeskokami swobodnemi z jednego na drugi przedmiot, i umiejętnością zjednoczenia i zajęcia gości, których bawiła, zapoznawała,

niedozwalając nikomu być osamotnionym i wydzielonym z towarzystwa. Ona była tem ogniskiem, do którego zbiegły się wszystkie promienie, ku któremu szły zewsząd oczy i biły wszystkie serca. Spełniała ten swój obowiązek gospodyni z powagą, wesołością, dowcipem, naiwnością, których przybranie nic ją nie zdawało się kosztować. Już miano dawać do stołu, — hrabia dzwonił o to trzy razy, a pani za każdą razą wybiegała sama przyspieszyć podanie — gdy spóźniony nieco nadbiegł jeden jeszcze gość, jakiś bardzo niemiecki, dawny pani znajomy, człowiek już nie młody i poważny, który zasiadł na chwilę przywłaszczając sobie panią Laurę.

Jeżeli zrana wydawała mi się cudnie, idealnie piękną, cóż dopiero teraz, gdy wystąpiła w całym blasku swych wdzięków, strojem nadzwyczaj starannym podniesionych. Miała na sobie czarną suknię z grubej materji, w ciężkich i poważnych fałdach spadającą dokoła jej utoczonej kibici, białe koronki przecudne oddzielały ją od rąk i ramion, a ponsowa wstążka stanowiła całą ozdobę. Takąż samą miała wplecioną we włosy, które tylko lekkie sznury złote przecinały. Na rękach ani jednego pierścionka, gładkich bransoletek parę i spięcie u szyi. Była podobną do starego portretu szkoły weneckiej; ale twarz jej uderzyła mnie teraz odmiennym od rannego wyrazem, jakby go zastosowała do stroju: — była poważniejszą i smutniejszą, osobliwie od przyjścia męża, który, oddajmy mu tu sprawiedliwość, ani spojrzał na nią. Za to ileż oczu ją ścigało?!

Chociaż gości było wiele, a ja chcąc nie być spostrzeżonym, kryłem się z sobą, woląc patrzeć niż być

widzianym; hrabina nie dozwoliła mi się utaić, owszem wyprowadziła na scenę, i przesadzonemi pochwałami zmusiła mię rumienić się. Znała już całą moją przeszłość przez sędziego, i z właściwą sobie zręcznością umiała ją wystawić w świetle nieco podniesionem, w jakiem ja sam jej nigdy nie widziałem. Tak samo prawie postąpiła z milczącym baronem, którego sprawy i dzieje opowiedziała z trochą przesady, a płacąc zapewne długi za admirację naszą, każdemu przypięła jakąś gwiazdę, krzyż, aureolę, czyniąc wszystkich wielkimi ludźmi.

Z tego tonu wychodząc, wypadało już nam dla niej nie uwielbieniem, ale czcią i ubóstwieniem płacić. Szczęściem, te hyperboliczne panegiryki tak umiała obrócić, tak zręcznie ubrać, że choć były śmieszne i przesadne, nie wydawały się niemi.

Hrabia ziewał; dano nareszcie do stołu, kamerdyner w białych rękawiczkach, z serwetą na ręku otworzył drzwi; Laura podała rękę baronowi i wszyscy poszliśmy za nią.

Sędzia idąc na końcu ze mną, bo się tu uważał za domowego, miał czas mi szepnąć:

— Zobaczysz jeszcze, jaka gospodyni! zobaczysz, co za objad! Ma czas śpiewać, grać, malować, pisać i zająć się nawet kuchnią; ja ci powiadam, że to jest wyjątkowa istota, jakiej drugiej nie ma na świecie.

Siedliśmy, a rozmowa przy objedzie przeszła jeszcze poprzedzającą dowcipem, zręcznością, wesołością; hrabia tylko był milczący.

Mając tu rolę bardzo podrzędną, myślałem, że zostanę zapomniany i będę mógł swobodnie robić postrze-

żenia nad nowym dla mnie światem; ale hrabina nie dała mi się skryć, ścigała okiem jak wszystkich, ośmielała i zmusiła, żem prawie był dowcipny.

Uśmiechniesz się może, że tak drobne pamiętam okoliczności! Powtórzyłbym ci każde jej słowo, odmalował ruch każdy, tak je doskonale zatrzymałem. Był-to początek smutnego dramatu mojego życia.

Oczarowany, nie wiedziałem doprawdy, co myśleć, widząc jej oczy tak często zwracające się ku mnie, chociaż powinienem był dostrzedz, że z równym wyrazem i równie tkliwie goniły po wszystkich twarzach... Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się działo ze mną, alem czuł się w jakiemś usposobieniu ducha niezwyczajnem, rozkosznem, podnoszącem mnie. Przy końcu objadu gotówbym był dać życie dla niej.

Nie dziw też, że nazajutrz na wszystkie zgodziwszy się warunki, zostałem sługą jej i domownikiem hrabiostwa. Wydało mi się to największem na świecie szczęściem.

Następnych dni kilkanaście spędziliśmy jeszcze w mieście, w ciągłym wirze zmieniających się a coraz nowych twarzy, witanych przez nią z tą samą życzliwością gorącą. Każdy nowy przybysz na chwilę zajmował i pochłaniał ją całą; później, gdy go jak ciekawe dziecię cacko nowe, ze wszystkich stron obejrzała... rzucała obojętnie, biegnąc ku innej zabawce.

Z kolei i jam się miał stać cackiem nowem w rękach pięknej Laury, ale nie uprzedzajmy wypadków. W mieście takie tłumy odwiedzały dom ich, taka była mnogość coraz świeżych czcicieli, że mnie musiano zo-

stawić na potem. Dziwiłem się nieco tej łatwości w zawiązywaniu stosunków, i posuwaniu ich tak daleko, bo prawie do poufałości z ludźmi, którzy nie bardzo na to zasługiwali, i nie mogłem się nawet powstrzymać, bym o tem nie szepnął sędziemu. Poczciwy stary spojrzał na mnie bystro, westchnął ciężko i rzekł żywo:

— Ale nie obwiniaj-że jej; cóż chcesz od tej biednej kobiety: ją to bawi! Nie posądzaj o płochość; przecież czemś zająć się musi, zabałamucić, a temu żywemu umysłowi potrzeba jakiegoś pokarmu!

— To prawda, — rzekłem — jednakże wybór często nie ciekawy!

— Właśnie to dowodzi, że w tem nic nie ma, prócz potrzeby rozrywki. Przerzuca ludźmi, jak przerzuca coraz nowemi książkami i nutami.

Postrzegłem, że sędzia wierny swojej czci dla niej, tłumaczył ją gorąco, ale jednak znać było, że w sercu to co ja czuł i myślał; dodał bowiem zaraz:

— Przypuśćmy, że to jest słabość: można jej to darować; ale wierz mi, że nie jest płochą... U niej to czysto psychologiczne badanie.

Zamilkłem, bo niedosyć znałem Laurę, żebym ją mógł sądzić, tem bardziej potępić; przykro mi było tylko, że ten skrzydlaty mój ideał tak się zniżał, co chwila zbierając po ziemi muszki i pajączki.

To co ją otaczało, w czem żyła i czem się żyć zdawała, tak było niższem od niej, żem pojąć nie mógł, jak ją to zajmowało. Tłum zwykły składał się z ufryzowanej młodzieży, która ją otaczała rojem, ze starych kawalerów, przesadzone hymny śpiewających na jej

chwałę, z ludzi po większej części znanych tylko z łatwej admiracji dla kobiet i nazbyt łatwego serca. Zresztą, taka tam była mięszanina na dworze najjaśniejszej pani naszej, tak różnorodne zbiorowiska artystów i pseudoartystów, pół-poetów, ćwierć-filozofów i niby znakomitości lichej próby, żem sobie wytłumaczyć nie mógł inaczej ich nacisku, chyba słabostką kobiety, która musi pobłażać tym, co się w niej kochają... a kochali się wszyscy...

I mimo wszystkiego, co mówił sędzia, niepodobna było uniewinnić ją tem zupełnie, że się nie starała biednych tych much obałamucić, czyniła bowiem co tylko mogła, by przyciągnąć, wzniecić uwielbienie i podsycić namiętność. Była to może zabawka, może instynktowego coś, ale niestety! najniewinniejsza może, jawnie była zalotną! Dostrzegłem to łatwo. Sędzia mi ciągle powtarzał:

— Ależ... przecież jest kobietą! nie może być inaczej. Każda kobieta musi być trochę zalotną, musi chcieć się podobać!

To jedno, co ją w oczach moich oczyszczało, że była bez wyboru równie zalotną ze wszystkimi, począwszy od starego sędziego, do ośmnastoletniego kuzynka.

Dlaczego mnie to tak bolało, nie zastanawiałem się zrazu, nie badałem siebie; dopiero po kilku dniach, gdy poznałem, że tęsknię nie widząc jej, że się niecierpliwię, gdy nowy rycerz przybywa w szranki łask jej się dobijać — zrozumiałem, że jestem na drodze, która do zguby prowadzić może.

— Ty wiesz — dodał siadając i głos zniżając Wojtek, — jakem ja zawsze sobie wystawiał miłość, i jak mieściłem ją w życiu ludzkiem wysoko na ołtarzu, czystem płonącą ogniem. Zestarzałem prawie nie sprofanowawszy tego uczucia, z jednem maluczkiem wspomnieniem młodości, wierny mu, surowy, i sądziłem już, że przebywszy czas krytyczny, będę wolny od ciężkiej ospy miłosnej.

Przeraziłem się zrazu poznawszy w sobie zaród głębokiego uczucia, i postanowiłem z niem walczyć. Zdawało mi się to tem łatwiejszem, żem widział słabość ideału, żem płochość dojrzał zaraz, żem miał w niej silny antidot przeciwko rodzącej się namiętności. Jeszcze przed wyjazdem na wieś po głębokiem zbadaniu siebie, silny wolą, która mi zawsze była posłuszną, uczyniłem ślub uroczysty unikać wszystkiego, coby dało się rozrosnąć namiętności, i naraziło mnie później na godne śmiechu w moim wieku i położeniu cierpienie.

Zdaje się tedy, że tak zbrojny, śmiało już dalej iść mogłem. Wprawdzie najbezpieczniej było uciec, znaleźć powód do usunięcia się, i nie iść w ogień niepotrzebnie; ale tu właśnie rodząca się słabość zawiodła mnie, wystawiając bój daleko łatwiejszym niż był w istocie, gdy w tej ochocie do walki tkwił zaród niepposzlakowanego przezemnie, ale już silnego uczucia.

Na kilka dni przed wyjazdem z miasta, ledwie mogłem widywać hrabinę przy stole i na krótko wśród dnia, tak była nieustannie porywaną, otoczoną, oblężoną przez swych czcicieli i ciągle zajęta nimi. Nie mogłem się jednak skarżyć, by mię lekceważyła i odpychała:

owszem, ilekroć spotkaliśmy się, jej słowa, uśmiech, uprzejmość, nowe na mnie kładły więzy. Kilka razy po cichu skarżyła się przedemną na tłum i wrzawę, które ją otaczały.

— Nie uwierzysz pan, jak mnie to męczy, — mówiła cicho, — jak to wszystko czcze, śmieszne i nienasycające serca, ale my w naszem położeniu jesteśmy niewolnikami świata i stosunków towarzyskich, drzwi zamknąć niepodobna. Cieszę się tem, że na wsi będziemy swobodniejsi, i pan lepiej mnie poznasz, a zyskam pewnie w jego umyśle, gdy nam pozwolą się zbliżyć.

Nie kryłem przed nią, że tego świata ani polubić ani szanować nie mogłem, a ona gorąco dzieliła moje przekonanie. Czynem jednak wcale się to nie dowodziło: biegała za nim i gorączkowo mięszała się do tłumu. Coraz mniej ją rozumiałem.

Nie wspomniałem ci jeszcze, — dodał Wojtek, — o drugiej osobie w tym domu znajdującej się, która dla mnie ważną grała rolę, choć zaledwie była postrzeżoną.

Była to jakaś daleka krewna hrabiego, sierota uboga, (bo wszystkim się trafia mieć krewnych w biedzie), wzięta z litości do domu, wychowana przez Laurę i służąca niejako za specimen jej dobroczynności.

Halka — daruj mi, że znowu wprowadzam tu kobietę — miała lat około dwudziestu i na twarzy piętno swojego sieroctwa, smutek cichy i pokorny. Mimo całego mego uwielbienia dla hrabiny, nie podobało mi się to, że często słyszałem ją z powodu tej smutnej twarzy dziewczęcia, niecierpliwiącą się tem, że Halka chciała uchodzić za ofiarę...

Tymczasem nikt w świecie mniej uchodzić za cokolwiek nie pragnął, mniej nie udawał nad nią. Halka była tem, czem ją Bóg stworzył, ale dwie te natury sprzeczne nie mogły się z sobą nigdy pogodzić. Laura cała żyła na zewnątrz, Halka w sobie; pierwsza potrzebowała świata, druga go unikała; tamta żądną była pochwał i uwielbień, ta się taiła z cnotą nawet, by nie ściągnąć oczu.

Przy blasku nieporównanej piękności hrabiny, Halka, której wdziękiem była młodość, świeżość i wyraz skromności i pokory, nikła zupełnie. Nie była ona tak piękną głośno, jawnie, krzycząco, że tak powiem, jak hrabina, która wszędzie i zawsze zwracała na siebie oczy; w Halki twarz potrzeba się było wpatrzeć, by w niej dostrzedz wdzięku. Blada, bez rumieńca zwykle, który w chwili zawstydzenia tylko oblewał ją szkarłatem całą, z oczyma, które wejrzeń unikały, pozornie blada i bez wyrazu, choć rysów regularnych, choć zręczna, ale maleńka i drobna, ubrana zawsze skromnie: Halka siadała w kątku i nikt na nią nie spojrzał. Najpiękniejszą ozdobą jej twarzy było czoło pogodne, jasne, z przepychem włosami blond otoczone, i ten wyraz pokoju, który ją zawsze otaczał.

Pomimo codziennych stosunków i przywiązania, z jakiem hrabina zawsze odzywała się dla sieroty, widocznem było, że nie sympatyzowały z sobą: Halka męczyła się i cierpiała, hrabina niecierpliwiła się na nią.

Nie okazywała tego nigdy, owszem, zdawała się Halkę chcieć zawsze wywieść na świat szerszy, podnieść, dać ocenić, ale nie wiem jak to się działo, że usiłowa-

nia nie tylko nie osiągały celu, ale przeciwny robiły skutek. Sierota cierpiała widocznie, znosząc swe położenie, z cichym heroizmem ofiary, która wie, że kielich musi wypić do dna. Może i to przyczyniało się jeszcze do tajemnego między niemi nieporozumienia, że hrabia, którego pomawiano o zupełną nieczułość, o brak serca, widocznie lubił Halkę i starał się zawsze w krytycznych razach być jej pomocnym. Uczucie to wprawdzie tak było przyzwoite i umiarkowane, że nie dozwalało się nic domyśleć, prócz troskliwej, prawie ojcowskiej opieki; ale gdy po stronie hrabiny i w jej obronie nie występował nigdy, a Halkę zasłaniał od najmniejszego dotknięcia, stawało się widocznem. Hrabina czasem sobie z tego zażartowała, ale widać było, że czuła na tem.

Niezmiernie podrzędną rolę grała Halka w salonie; czasem była niedostrzeżoną, wchodziła po cichu, zasuwała się w najciemniejszy kątek, brała robotę; nie mięszała się do rozmowy, obawiała się podnieść oczu nawet, i znikała jak przyszła, część większą dnia spędzając w swoim pokoiku. Chociaż lubiła muzykę, trudno było ją skłonić, aby zagrała i zaśpiewała, a gdy ją hrabina zmusiła prośbą natarczywą, która się rozkazowi równała, nieraz ze łzami siadała do fortepianu.

Pierwszych dni ledwiem widział sierotę, tak blask piękności hrabiny zajął mię i owładnął mną całym; później położenie nasze zbliżyło nas nieco.

Role nasze w tym domu bardzo były podobne, bo tylko je rozróżniało, że hrabina ukazywała mi aż nadto uprzejmości, a dla Halki była więcej jak obojętną. Sierota potrzebną jej się stawała niekiedy jako kontrast,

jako ofiara, a choć używała jej z największą obojętnością, nie podobna się było nie użalić losu tej istoty, poświęconej bożyszczu nielitościwemu.

Dlaczego widząc to wszystko chwilami, i jakby jasnowidzeniem, pomimo podziwu, oburzenia nawet, namiętnie, szalenie zakochałem się w hrabinie: — niech tłumaczy kto chce, ja nie potrafię.

Byłem jak człowiek spragniony, któremu wonny podają napój, mówiąc, że w nim jest trucizna; który wie, że wypiwszy go, umrze, a wstrzymać się nie umie i pije. Zresztą nie poddałem się bez walki, ale bój był zawczasu rozstrzygnięty.

Długi czas Halka nie spojrzała na mnie, ja ledwiem ją widział, choć mnie ta istota, tak odmienna od bóstwa naszego, zajmowała jak zagadka, jak sprzeczność dziwnym trafem postawiona umyślnie obok wspaniałego kwiatu, by barwie jego dodać siły.

Po kilku dniach męczącego, rozerwanego życia, ruszyliśmy przecież na wieś; hrabia nas poprzedził. Ale nie mogliśmy wyjechać cicho i spokojnie: o milę przeprowadzała ją młodzież, na noclegu zastaliśmy gospodę wybitą dywanami i wykadzoną fijołkami, których woń lubiła; nazajutrz śniadanie w lesie nad brzegiem rzeki. Doktor Ferreti, sędzia, baron niemiecki i jeden z lwówkuzynów, bo wszyscy tam jakoś byli krewni, przeprowadzali nas aż do domu. Każdy z kolei przypuszczany był na chwilę do wyłącznych łask pani, każdemu dawała uśmiech, rzucała słowo, gałeczkę pochlebstwa, kostkę przyjaźni, i choć na twarzach ich widać było

często niecierpliwość, znosili się wszyscy, oczekując kolei swojej godziny szczęśliwej.

Trzeba przyznać też, że z nadzwyczajną zręcznością zalotna pani podzielić się umiała: pozbyć jednych, zająć drugich, zbliżyć do kogo uważała potrzebnem, usunąć kto zawadzał. Sędzia chodził po różne zapomniane paczki, barona posyłano oglądać widoki, lew musiał zajmować się końmi, doktor choremi dziećmi spotkanemi na ulicy, a hrabina karmiła pojedynczo tymczasem każdego wejrzeniem, nadzieją, słówkiem, uściskiem ręki i każdy miał się za uprzywilejowanego. Śmiała niezmiernie, nie obawiając się podejrzeń, z których żartowała, robiła co przez myśl przeszło, nie zastanawiając się wcale co ludzie o niej powiedzą. Ludzie w takim razie milczą zawsze.

Miałem i ja swoją minutę w dniu... a ze mną zawsze z jednego tematu zaczynała się rozmowa: lekko prześmiewała swych czcicieli, sypiąc im pochwały zarazem i podżartowując z nich sobie; potem utyskiwała na oblężenie, na niewolę, na ludzi i wzdychała do samotności wiejskiej. Była tak inną z nimi, a tak różną przy mnie, żem doprawdy nie wiedział, w którą z tych dwóch istot wierzyć: w tamtą ich hrabinę, czy moją. Miłość własna, niestety, szeptała mi, że naturalnie moja musiała być prawdziwą.

Dojechaliśmy wreszcie do Darowa... Była to stara rodziny tej rezydencja, którą hrabia lubił szczególnie dla tego, że w ogromnych położona lasach, obfitowała w zwierza i wszystko, co do najwygodniejszego mogło posługiwać życia. Te nasze majątki, poleskiemi zwane, choć

może nie przynoszą wielkich dochodów, mają to do siebie, że w nich jak u pana Boga za piecem się żyje.

Tu od bardzo znać dawna myślano o tem, aby spokojnie i *procul negotiis* odpoczywać dla oka i ciała, a potrosze dla duszy. Darów był ideałem majętności pańskiej. Wszystkoś w nim znalazł, co tylko zapragnąć można.

Ogromny pałac w XVIII. wieku przerobiony ze starego zamku, i powiększony dwoma skrzydłami, które go łączyły z oficynami i przybudówkami, ze swym dziedzińcem, ustrojonym w pomarańczowe i cytrynowe drzewa, nie tylko był wspaniały i wielkie dający wyobrażenie o zamożności domu, ale nawet w swoim rodzaju piękny. Wprawdzie doń całą armię sług utrzymywać było potrzeba, ale hrabia bez nich obejśćby się nie mógł. Była to niegdyś wojewodzińska rezydencja, w której nieraz królów przyjmowano, ale ją tak ze smakiem i przepychem przebrano na nowo, że ledwie niektóre sale nosiły ślady swojego starożytnego pochodzenia. Z zamkiem łączyła się wspaniała kaplica, a po za nim rozciągał ogromny ogród, w tarasy i szpalery strojny, do którego nowszym smakiem przydano wielki park angielski. Lewe skrzydło zajmowała hrabina, prawe i część oficyn dwór pana i gościnne pokoje przyjaciół jego i rezydentów. Uderzyła mnie dotąd niewidziana pańskość tego gmachu, dworu, i prawie monarchiczna stopa życia. Oboje hrabiostwo żyli tu wcale inaczej niż w mieście, a choć w poufałych stosunkach z sąsiedztwem, zajmowali jednak widocznie stanowisko, które feudalizmem jakimś trąciło. Uprzejmi nadzwyczaj w salonie, stracili tradycję owej starej gościnności naszej, która przybyłego uważając za

posłańca Bożego, nie żegnała go u drzwi, ani witała u progu, ale z nim razem szła aż do granic, wybiegała przeciwko niemu, i troszczyła się zarówno o pana, sługi jego i konie. Tu przyjmowano po miejsku, stawiano w nieopalanych pokojach, a lokajom potrzeba się było za najmniejszą rzecz opłacać, lub cierpieć od nich co chwila jakieś upokorzenie. Gość miał wprawdzie wiele wolnego czasu, niby na wzór angielski zjawiał się tylko w pewnych porach w salonie, ale po za jego ścianami nikt się nim nie zajmował. Hrabia i tu prowadził życie całkiem odosobnione, miał swój dwór, sługi, kuchnię nawet, powozy, konie, kamerdynera, a stosunek jego z hrabiną był czysto tylko dobrego sąsiedztwa i przyjaźni stosunkiem. Najczęściej widywali się przy objedzie, jeżeli hrabia nie jadł wcześniej lub osobno; schodzili się wieczorem, a i tu nawet każde z nich w swojem kółku oddzielnem się obracało.

Hrabina nie wiele odmienne od miejskiego wiodła życie, nieustannie otoczona, zajęta ludźmi coraz nowymi, potrzebująca błyszczeć, łakoma oklasków, nienasycona kadzideł. Prawie zaraz z nami przybył w tropy doktor Ferreti, dla którego niezmierną cześć, przyjaźń i poszanowanie okazywała, potem mój sędzia, baron niemiecki, lew-kuzynek i jeszcze kilku mało znaczących admiratorów. Łatwo pojąć, że wszyscy ci wielbiciele zjadali się oczyma, zazdrościli sobie, i gotowi byli pójść na noże; lecz nieporównana hrabina ze zręcznością nadzwyczajną w tej menażerji swojej umiała pokój utrzymać. Była też spójnia, co ich wszystkich wiązała: cześć i uwielbienie dla Laury, której chwałę spiewali chórem.

Hrabina ten tłum swych niewolników trzymała na uwięzi, i każdego karmiąc, każdemu rzucając coś na pokarm, uczyła ich cierpliwości. Uważałem, że każdy miał jakąś wyznaczoną sobie w dniu godzinę, która mu starczyła zapasem wspomnień na dnia reszty; doktor, jako lekarz wchodził i bawił najpoufalej, przed wszystkimi i po wszystkich; był nie tylko poradnikiem dla zdrowia, ale najpoufalszym z przyjaciół; a choć złe języki plotły coś o tych zbyt ścisłych stosunkach, Ferreti doskonale odgrywał rolę obojętnego, posłusznego, namiętnego tylko sługi.

Czasem zrana wzywano barona na jaką godzinę, lub lew-kuzyn czytał czy pisał z hrabiną; czasem sędzia zamykał się z nią w salonie sam na sam dla ważnych narad. Niekiedy odprawiano śmiało wszystkich, rozkazując zostać jednemu, lub przywoływano wybranego, a Laura tak śmiało w tem postępowała sobie, tak się zdawała pewną, że nikt jej częstych schadzek i samotnych rozmów za złe nie śmiał poczytać. Co się tyczy hrabiego, ten jak wszyscy śmiertelni u drzwi jej się meldował, i czasem nawet nie bywał dopuszczony, zwłaszcza gdy naradzała się z doktorem.

Przez kilka dni przebytych w mieście, i drogę całą, miałem czas wnijść w siebie, poznać trochę piękną panię, i opamiętać się, ochłonąć po pierwszem wrażeniu, wykreślić sobie drogę postępowania na przyszłość. Może widząc mnie zrazu jakby oszalałym z admiracji, Halka, która cicho zawsze siedziała w kątku, pobudzona litością, przyczyniła się do otwarcia mi oczu na niebezpieczeństwa. Synek hrabinej, którego dozór był jej powierzony,

zbliżył nas łatwo; musieliśmy się poznać, widywać, musiałem ją o nie jedno zapytać. W kilka dni, gdy mnie nieco lepiej poznała, zostaliśmy sami w salonie, bo dzieciak wybiegł z rakietą do pierwszego pokoju. Zacząłem przed nią mówić, nie tając mego uwielbienia dla Laury; słuchała mnie długo, nie zdziwiona wcale, lecz jakby ze szczerem politowaniem.

— Wszystko to, co pan mówisz, — odpowiedziała mi po chwili poważnie, — sto razy prawie temi samemi słowy powtórzone słyszałam... Nic naturalniejszego w świecie! któżby jej nie wielbił? kogoby nie zachwyciła? Jest to istota wyższa, wyjątkowa, i bez wątpienia, uczucia, jakie wzbudza w panu, i we wszystkich co ją otaczają, są jej należne, lecz...

Przerwała zmięszana; jam czekał w milczeniu co powie dalej.

— Lecz — dodała wahając się chwilę — uwielbienie prowadzi daleko, często w człowieku rodzi też pragnienie wypłaty, a istoty wyjątkowe jak ona, nie mają czasu w przechodzie przez ziemię, długo spojrzenia na ludziach zatrzymać.

Zdziwiony byłem tą mową. Halka rozśmiała się.

— Przyjm pan to — rzekła — jako przyjacielskie ostrzeżenie... Hrabina jest aniołem dobroci... ale anioły rzadko spływają z niebios ku ludziom; lecą po nad nami, uśmiechną się i znikają...

— Rozumiem panią — odpowiedziałem rumieniąc się — i przyjmuję przestrogę z wdzięcznością, ale mogłażeś pani pomyśleć na chwilę, żeby istota jak ja... nieznacząca, maluczka, pomyślała nawet o ściągnieniu

oczów na chwilę, o tym groszu jałmużny za dług spłacony? Widzisz pani, żem już nie tak młody, bym się puszczał marzeniem dalej, niż zajść można rzeczywistością; uwielbienie jest tak słodkiem uczuciem, że trudno mu się oprzeć, ale ono samo się nagradza.

Halka była zmięszana.

— Prawdę rzekłszy — dodała, — to wcale niepotrzebne z mojej strony ostrzeżenie... alem tylu widziała, co się u tego poparzyli płomienia, że mi pana, który do nas, jak widzę, z innego świata przybywasz, jakoś żal się zrobiło.

— Nie przeczę, że świat, w którym żyć nawykłem — odpowiedziałem, — jest całkiem od tego, z którym się tu spotykam, odmienny. Obyczaj tu wcale różny, i czego serce odmawia, to forma zastępuje...

— Która jest formą tylko — dodała Halka. — U nas ubogich i mniejszych, gdy się rękę uściśnie, to z uczuciem przyjaźni; obojętnym nie dajemy ciepłej dłoni, ani słowa namaszczonego; chowamy na święta przysmaki i drogie ubiory... Bogaci przywykli na codzień karmić się tem, co my ledwie kosztujemy w niedzielę, i w uczucia oznakach tak samo postępują, jak u stołu; w powszedni dzień na danie powszednie dają drogie rzeczy... tylko, że w nich nie ma smaku. U nas wszystko ma znaczenie: słowo, ruch, wejrzenie; tu szafują wszystkiem, i wszystko traci wartość.

— Uwaga pani niezmiernie słuszna — odpowiedziałem, — ale przecież i u nich, jeśli ich mamy tak oddzielić od siebie, trafia się uczucie, spotyka się serce:

jakiegoż wówczas używa środka, żeby się objawić, gdy zwykłe są spowszedniałe i bez znaczenia?

Halka spojrzała mi w oczy.

— Uczucie — rzekła — trafia się rzadko, o! bardzo rzadko: można łzy wypłakać, i miłość przekochać, i nienawiść nawet wynienawidzieć... a jeśli cudem zjawi się jesienny kwiatek uczucia, aby się na świat ukazać, osobny język stworzyć sobie musi, gra obojętność, udaje nawet wstręt i nienawiść.

— Nie pochlebiasz pani temu światu, w którym się wychowałaś i żyjesz! — rzekłem z uśmiechem — biedni ludzie!

— Wychowałam się w nim obca mu zupełnie, — żywo przerwała Halka — żyję w nim obojętna... Moje dzieciństwo spłynęło w sieroctwie, ale wśród innych ludzi, i po tamtych płaczę: tam byli ludzie po mojej krwi i myśli, tu sztuczne istoty do jakiejś gry towarzyskiej utworzone. Ma i ten świat swą dobrą stronę, ale kto się w innym urodził, nie pokocha go nigdy... nie przetęskni żalu po swoim...

— Spotkałam się z panem — dokończyła po chwili — jak wędrowiec w obcym kraju z człowiekiem swojej ziemi; ztąd obawa moja o niego, i dzisiejsza nieudatna, niepotrzebna przestroga. Baw się pan tem, co go otacza, ale nie dawaj serca... oni go nie żądają; uczyniłbyś tak, jak nieraz ubodzy, co najpiękniejszy kwiat ogródka zrywają dla państwa, nie wiedząc, że bukiet ten przy oranżeryjnych ich kwiatach dziko i smutnie wygląda, a ci, dla których z ozdoby najpię-

kniejszej swój kątek odarli, rzucają go w śmiecie po chwili...

Może ta życzliwa przestroga sieroty, może własny rozsądek mój sprawił, żem silnie postanowił skryć w sobie rodzące się uczucie, którego wzrost zatamować było potrzeba, i utaić śmieszność. Przybyłem więc na wieś, trzymając się na wodzach, chłodny, rozważny, pan siebie, i choć hrabina wielkie czyniła na mnie wrażenie, stałem od niej zdaleka, starałem się nie okazywać nic, prócz poszanowania głębokiego.

Na tej stopie wszakże trudno było z nią się utrzymać. Przywykła do hołdów, potrzebowała ich od wszystkich bez wyjątku, a jeśli w oczach wyśledziła obojętność, usadzała się na to, ażeby z niej wyprowadzić. Zbroja więc, którą się pokryłem, najgorzej mi usłużyła: było znać przeznaczeniem mojem, poledz w tej nierównej walce. Hrabina dostrzegła chłodu i obojętności, i postanowiła dumny kark schylić u swoich nóg.

Dziś lepiej otwartemi oczyma widzę to wszystko jasno: naówczas wcale inaczej wyobrażałem to sobie, i brałem po prostu, po naszemu, słowa i wejrzenia za dobrą monetę...

Niestety! był to bilon pobielany, tylko w tem państwie kursujący!

W pierwszych zaraz dniach przybycia do Darowa, mimo dostatecznej dla zajęcia jej liczby gości, Laura zwróciła na mnie uwagę szczególną; pokazała w najwyższem stopniu nietylko swą piękność, ale rozum, talenta, dowcip, i całą wyższość nad pospolite istoty! Rzeczywiście była wyjątkową! Bóg ją obdarzył obficie

i postawił tak wysoko, że mogła walczyć o pierwszeństwo z tem, co dzieje najwznioślejszego w kobietach nam przywodzą. Sąd jej o świecie był śmiały, oryginalny, nacechowany energią i pełen fantazji; dla umysłu nie było rzeczy niedostępnych, bo nawet filozofię niemiecką studjowała czas jakiś, i resztkami jej popisywała się często; utalentowana artystka, dowcipna, miała chwile poezji i godziny sceptyzmu, pojmowała religijne ekstazy i dochodziła po nich jednym tchem do granic niewiary zupełnej, przybierała wszystkie twarze, ale czem była w istocie, trudno było odgadnąć.

Mniej zaślepiony odemnie byłby dostrzegł prędzej, że w tym popisie świetnych jej przymiotów dużo było szychu, błyskotek fałszywych i komedji; jam nie miał czasu, a nadewszystko woli analizować zjawiska.

Unikałem jak mogłem bliższego z nią spotkania, a że mnie ztąd i z innych oznak posądziła zapewne o serce, jęła się dla podbicia niepotrzebnego niewolnika, środka, który jej miał posłużyć doskonale.

Najprzód z głębokiem jakby uczuciem, zrobiła mi wymówkę, że od niej unikałem: potem wszechwładnym rozkazem tak urządziła godziny, abym z jej synem, którego nie miała czasu widywać wśród dnia, zawsze do niej przychodził wieczorem, gdy była sama i odpoczywała. Zastawałem wówczas ją w salonie na kozetce z książką w ręku, którą rzucała z twarzą smutną, znudzoną, znękaną i nieszczęśliwą... Chłopaka popieściwszy nieco, z westchnieniem odprawiała zwykle do salonu, a mnie kazała zostawać z sobą.

Wyrywałem się z obowiązku za dzieckiem, ale hrabina puścić mnie nie chciała, a dostrzegłszy jakby obawy jakiejś, silniej jeszcze nastawała, bym z nią został.

— Władziowi nic się nie stanie — powiedziała mi zazaz za pierwszem takiem powołaniem, — dziecię potrzebuje chwili swobodnej, a ja pragnęłabym pana przekonać, że świat, od którego stronisz, nie cały się składa z poczwar i straszydeł.

— Ale ja...

— Nie wymawiaj mi się pan — przerwała despotycznie, — ja znam ludzi. — I przybrawszy minę smutną, tak mówiła dalej:

— Nie przeczę, że u nas wiele a wiele jest złego, ale nie wszyscyśmy ślepi, a przykuci w tem więzieniu i my cierpimy. A! choć uśmiechamy się wśród męczarni, nie wierz pan pozorom szczęścia...

— Co do mnie — dodała po chwili, — znużoną jestem niewymownie, szarpię się, rzucam, śmieję, by nie pokazać, że boleję. Stworzoną byłam do innego życia, do wiejskiej ciszy, skromnej strzechy, do rodzinnego kółka, do świata zapomnianego przez ludzi: wzdycham do ustroni i pokoju.

Taką zawsze chciała być dla mnie i wyrachowała doskonale, że ukazując mi się w tej szacie, najponętniejszą się stanie.

Po dwóch czy trzech dniach widząc, że nie wychodzę z mojego chłodu, i mówić nie śmiem i zbliżyć się boję, hrabina stała się jeszcze poufalszą.

Gdym przyszedł o mojej godzinie, na którą codzień ze strachem i niecierpliwością oczekiwałem, uśmiechnęła się z dobrze odegranym smutkiem, i wziąwszy poufale za rękę, spytała:

— Kochany panie Albercie, powiedz mi, czy panu źle u nas! dla czego tak jesteś smutny, tak zamknięty w sobie, tak widocznie nas się obawiasz?... No! wyspowiadaj mi się pan szczerze, a ręczę, że znajdziesz współczucie, a może... i pociechę. Co panu jest?

— Ale nic, pani! — odpowiedziałem — najlepiej mi w świecie; jestem spokojny, mam pracę, którą lubię, nic mi nie brakuje; do tego stanu przywykłem.

Rzuciła na mnie spojrzenie straszliwe, długie, od którego zadrżałem cały, i westchnęła wskazując mi miejsce blisko siebie.

— No! nie bój-że się pan — rzekła, — przecież nie jestem tak niebezpieczną istotą... Siadaj... mam dla pana szacunek i przyjaźń, jesteś pan może jednym z wielu, co mnie otaczają, którybyś mógł mię pojąć, gdybyś chciał...

Wąż w raju nie inaczej mówił do Ewy, chcąc ją uwieść, i w istocie przekonywał ją, że tylko ona jabłko zerwać i męża do zjedzenia nakłonić może. Zawsze przez to *ja* zyskuje się człowieka: jest to sznurek poliszynella, który pociągnąwszy, cała jego istota drży i rzuca się jak każą.

— Pan sądzisz — dodała powoli, — że to położenie moje w świecie, do którego przywykłam, te hołdy, które odbieram, ten szał, który udaję, są potrzebą dla

mnie i celem... Jakże myślisz? A! gdybyś pan znał wnętrze tej duszy, do której zajrzeć nie chcesz.

— A! pani, nie mam prawa! nie godzi mi się pomyśleć nawet o takiem szczęściu.

— Dla czego? Słyszałeś pan zapewne nieraz o tem, że karmionym ciastkami zachciewa się chleba; pan mógłbyś chlebem być dla mnie. Widzisz mnie wiecznie uśmiechającą się, serdeczną z tymi panami, co mnie otaczają, a tak nudzą! Ale cóż mam począć? niewolnica przykuta do form świata, łzy połykam, ziewanie tłumię i śmiać się muszę.

— Pozwoli pani dodać mi...

— I owszem, a szczerze?

— Że ten uśmiech przymuszony jest tak na pozór szczery, tak zdaje się serdeczny...

— A! nic dziwnego — przerwała, — całe życie od kolebki uczą nas udawania, i w końcu stajemy się komedjantami doskonałymi; ale myślisz pan, że to nic nie kosztuje?

I poczęła mi z żywością nadzwyczajną malować ludzi, którzy ją otaczali, aby dowieść, że ich lepiej znała, niżem ja wystawiał sobie.

— Jest ich wielu — rzekła — ale wybierz-że mi pan jednego? Z nich wszystkich poczciwy stary sędzia najlepszy, najstarszy mój przyjaciel. Serce złote, dobroć anielska, ale umysł bez siły. Psuje mnie, pochlebia mi, nudzi mnie. Uwielbienie jego niekiedy mnie upokarza; wstyd wyznać, że czasem niecierpliwi. Jestem dla niego niewdzięczną doprawdy, tak mnie kocha; ależ taki męczący... a tak zestarzał na umyśle, że nawet sercem

nie dopełni, co mu w nim braknie. Spodziewam się — dodała, — że mię pan nie posądzisz o zbytnią czułość dla nieoszacowanego barona. Jest to dawny stary mój przyjaciel, z którym przed laty poznaliśmy się w Paryżu, co roku prawie przyjeżdża tu mnie odwiedzić, dał mi wiele dowodów poświęcenia i uczucia, ale on także nigdy mnie nie pojmie. Przyznam się — dodała poufnie spuszczając oczy, — że go posądzam o niepotrzebną wcale miłość dla mnie. Trzeba wiedzieć, że mam szczęście do starych! Baron ma polor świata, jest przyzwoity, ale ani sztuki, ani poezji w nim nie szukać; dla niego hollenderski obrazek starego pijaka nad kuflem piwa, lub zabitego ptaka z pierzem delikatnie wykończonem, jest ideałem malarskim... i tak we wszystkiem. Nie potrzebuję się panu tłumaczyć, że mój kuzynek, dzieciak, choć bardzo dobre chłopię, ale tak jeszcze zielone i pocieszne ze swą zarozumiałością, iż wcale nie może uprzyjemnić mi swem towarzystwem długich godzin, które spędza ze mną. Ten także patrzy mi w oczy, jak żebrak wyglądający jałmużny, a niesłychanie śmieszny, ale dobre, dobre stworzenie: wskoczyłby w wodę, gdybym mu kazała. Jedynym — dodała po chwili namysłu znowu, — jedynym lepiej mnie pojmującym jest poczciwy Ferreti. Szkoda, że pan tak dobrowolnie skazując się na samotność, nie chcesz się zbliżyć do niego: jest to człowiek pełen rozumu, oczytany, erudyt, a przytem uczuciowy i serdeczny. Ma swoje śmieszności, alę któż bez nich?

I tak przebiegając cały swój dwór, który nielitościwie sądziła czasem, to znowu wychwalała do zbytku, starała mi się dowieść hrabina, że mogłaby mnie wybrać

za przyjaciela i... dałem się wziąć na wędkę temu robaczkowi miłości własnej. Pamiętam, że po kilku takich rozmowach wieczornych nabrałem przekonania, iż dwie nasze dusze stworzone są dla siebie, a ona pierwsza to odgadła. Uwierzyłem święcie w tęsknotę, smutek, potrzebę zwierzeń, i zbliżyłem się, zapomniawszy dawnych postanowień swoich.

Nastąpiła epoka może najszczęśliwsza w życiu mojem, którą jednak wkrótce drogo miałem przepłacić.

Miłość, którą wzbudziła we mnie pierwszem wejrzeniem, ujarzmiona rozumem, ostudzona radami Halki, wybuchnęła niewstrzymywana, silna, potężna. Mogłem się z nią ukryć łatwo przed oczyma ludzi, ale nie umiałem przed nią; codziennie mnie coś zdradzało, codzień przerażony truchlałem, by nie dostrzegła namiętności, którą wzbudziła we mnie; ale hrabina im widoczniejszym był mój występek, silniej jeszcze zdawała się mnie popychać na drogę, z której już zejść było mi trudno.

Czekałem godziny wieczornej, biegłem do saloniku, zajmowałem wyznaczone mi miejsce, siadałem zapatrując się w jej oczy i słuchając srebrnego dźwięku jej głosu, zapominając o całym świecie. Czasem tylko przychodziło mi na myśl, że jedno słowo może mnie z raju wygnać na zawsze; ale ona była tak pobłażliwą, tak łagodną i dobrą! Zamiast wstrzymywać mnie, zdawała się chcieć jeszcze podbudzić. Mógłżem nie oszaleć? Wprawdzie nigdy słowa o sobie i o uczuciu mojem nie wyrzekłem, ale potrzebowałoż tłumaczenia i mowy, by się wyrazić?

Raz siedzieliśmy tak wieczorem, a Laura jak zwykle mówiła o sobie, bo w opowiadaniach zawsze jakoś ona grała pierwszą rolę, i autobiografia była najmilszą jej pogadanką; gdy wśród ciszy zjawił się jak cień Bank'a — sam hrabia.

Przeciwko zwyczajowi swojemu nie zameldował się, zdaje mi się nawet, że nas podszedł na palcach, i gdy we drzwiach pokazał się nagle, właśnie w chwili opowiadania, które się go tyczyło, myślałem, że pochwycony przezeń w poufałem sam na sam, upadnę i zemdleję ze strachu.

Hrabina, którą nigdy nie opuszczała nadzwyczajna umysłu przytomność, na widok jego nie zmieniła twarzy, ani głos jej zadrżał nawet. Spojrzała, i z krwią zimną tak dziwnie zręcznie zmieniła tok rozmowy, zachowując pozornie tęż samą intonację i postawę, żem się zdumiał i przestraszył jej aktorskim talentem.

Hrabia z cygarem w ustach wszedł pomaluteńku do salonu; uśmiech ledwo dostrzeżony przebiegł wargi jego, spojrzał na żonę trochę szydersko, na mnie z podziwieniem niejakiem i stanął u kominka słowa nie mówiąc.

— Rozmawialiśmy z panem Albertem — rzekła po chwili Laura — o naszym Władku.

— O Władku! — powtórzył hrabia — no! i cóż tam państwo uradzili dla niego?

(Jako żywo mowy nawet o nim nie było).

— Władka powoli, zdaje mi się, trzebaby nieco wziąć w surowsze kluby: do zbytku dajemy mu swobody... Nawyknienie do niej na przyszłość może mu bardzo ciężkie przygotować próby.

— Tak! próby! — machinalnie wciąż na mnie patrząc i ziewając już powtórzył hrabia. — Jakiegoż zdania jest pan Albert?

Zagadniony tak wprost zarumieniłem się, nie umiejąc wyrzec słowa; szczęściem hrabina, która nigdy nie traciła przytomności, dodała, widząc mię zmięszanego:

— Pan Albert nie jest za krępowaniem go: ja utrzymuję przeciwnie.

— Zawsze przeciwnie! — patrząc w sufit rzekł hrabia, i znowu ziewnął szeroko. Potem zaczął patrzeć na mnie z natężeniem wielkiem, tak, żem się coraz bardziej czując pomięszanym, ruszył, by wyjść z pokoju.

— Jeżeli przeszkadzam rozmowie, — przerwał hrabia, widząc, żem niemy wstawał powoli, — powiedźcie państwo, pójdę.

— Gdzież znowu! — ruszyla ramionami hrabina, — ale pan Albert tak śmiesznie ciebie się lęka: właśnie mi to mówił!

— A to istotnie śmiesnie, — odparł hrabia, — doprawdy, mnie się lęka! zabawna rzecz!

I zbliżył się do mnie z otwartą, szeroką, poczciwą dłonią.

— Czyż to prawda? kochany panie Albercie?

Choć o tem mowy wcale nie bylo, wpędzony w matnią, nie mogłem hrabinie zaprzeczać; uśmiechnąłem się tylko.

— Szanuję hrabiego, — rzekłem, — a poszanowanie łatwo z tem drugiem uczuciem graniczy!

To mówiąc i słysząc, że Władek zaczął zbyt dokazywać w drugim pokoju, coprędzej wybiegłem do niego.

Zaledwiem był za drzwiami, gdy mimowolnie uwięziony przy nich przez swawolnego chłopaka, usłyszałem rozmowę, która się w salonie toczyła.

— Kochana Lauro! — rzekł powoli hrabia, — czy i ten ci potrzebny?

— Kto?

— Przecie mnie rozumiesz... Z tymi innymi jak sobie chcesz: oni wiedzą jak to mało znaczy uśmiech, słowo i spoufalenie; ale on gotów to wszystko wziąć na serjo. Biedny chłopczysko!

Krew mi uderzyła do głowy, domyślając się, że o mnie była mowa.

Hrabina odpowiedziała zimno:

— Zawsze twoje wizionierstwo!...

Mąż rozśmiał się.

— Żal mi doprawdy biednego chłopaka, ale ty chyba nie masz w sercu ani litości, robić sobie tak żarty z dobrej wiary człowieka, który gotów się z-Werterować!

— Kochany mężu i panie, — zimno odpowiedziała kobieta, — sam nie wiesz co pleciesz!

— A tenże ostatni, przypomnij sobie, Julek... mało nie umarł...

Krzyk Władka przerwał mi dalszą rozmowę: musiałem razem z nim odejść, ale schwytane przypadkiem wyrazy przejęły mnie mocno.

Ażebym stan duszy mojej wytłumaczył, powiedzieć ci muszę, że od pierwszych dni dwojakie uczucie walczyło we mnie: chwilami widziałem w niej tylko płochą zalotnicę, to znowu nieszczęśliwą, szukającą komuby zaufać mogła, ofiarę. Były dnie, w których czułem ku

niej prawie nienawiść, a panując nad sobą, szydziłem z niej w sercu; ale jeden uśmiech, głos tęskny, dotknięcie ręki białej, słowo serdeczne a wymowne, znowu mi potem głowę zawracało na długo. Zdawało się, że w te dni nieufności i ostygnienia ona na wskroś widziała, co się działo we mnie; zbliżała się naówczas ze współczuciem jak do chorego, nie szczędziła pociechy, starała się z całym swym pokazać wdziękiem, i zwyciężała łatwo chwilowe opamiętanie, znowu coraz głębiej popychając w bezdnią, której nie widziałem końca; leciałem w nią czując, że mię pochłonie.

W kilka dni po tem spotkaniu, zrana jakoś, wezwał mnie z Władkiem do siebie hrabia, dał dziecku album do przepatrywania w salonie, a sam zaprosił mnie na cygaro do gabinetu. Zwykle bywał milczący i zimny, tą razą jakoś zebrało mu się na żywszą rozmowę.

Począł od syna, od rzeczy obojętnych, rozpytywał mnie o przeszłość moją, i zagaił coś o kobietach.

Dawno to zauważano, że wszystkie polskie rozmowy na tem się kończą, z tą tylko różnicą, że między przyzwoitymi ludźmi są przyzwoite, w gorszem towarzystwie bezwstydne.

Hrabia był człowiekiem delikatnym i dobrze wychowanym, więc choć lekko przedmiot traktował, ale z delikatnością i w sposób nieodstręczający. Niezmiernie zręcznie wprowadził rozprawę, ośmielił mnie i odezwał się w końcu:

— Jesteśmy prawie jednego wieku, i możemy o tem mówić po koleżeńsku. Powiedz mi panie Albercie, czyś był wielkim kobieciarzem?

— Otwarcie? — spytałem.

— A no! mówię ci, po koleżeńsku.

— Powiem ci więc hrabio, że my ludzie pracy nie mamy czasu być kobieciarzami: rozpusta jest dla nas za droga, a któż ubogiego pokocha?

— Najprzód powiedz mi, która z nich kocha? — gorzko i szydersko odezwał się hrabia. — No, ale jeszcze pytanie, — dodał po chwili patrząc mi w oczy, — co ci więcej przypada do smaku: wielkie panie w atłasach, czy proste dzieweczki?

— Otwarcie? — spytałem go śmiejąc się znowu.

— Nieznośny jesteś z tą swoją ceremonialnością; a cóż mi z tego, że będziesz plótł czego nie myślisz, i obchodził z daleka prawdę, której się chcę dowiedzieć.

— Dla mnie, — rzekłem, — miłość jest najidealniejszem uczuciem na ziemi: szukam w niej nie obłąkania zmysłowego, nie chwilowego nasycenia, ale uroczego snu niebios; muszę więc, bym się zakochał, znaleźć ideał, a ten niestety! chodzi w koronkach i atłasach!

— Otóż to smak zepsuty! Mylisz się najmocniej, — zakrzyczał gorąco hrabia, goręcej niż był zwykł się odzywać, — ideał to prostota, naiwność, to młodość, to serce — a serca pod sznurówką paryzką nie znajdziesz.

— A gdzież ono mieszka? — spytałem.

— Na chwilę bije ono czasem pod prostą sukienką, dopóki go dłoń świata, ręka czasu, ucisk nędzy nie wyziębi...

— Na chwilę tylko, — przerwałem mu, — wszak tak? ą gdy ostygnie, to, co my bierzemy potem za bicie

jego, jest już niezręcznie odegrywaną komedją, nieprawdaż?

— Często... niestety!...

— Więc wolę, rzekłem, komedję, którą gra mi panna Mars, znakomita artystka, bo dłużej trwam w złudzeniu, niż licha aktorka prowincjonalna przy łojowych świeczkach.

— Sofizmat! sofizmat! — rozśmiał się hrabia biorąc się za głowę, — wszystkie one są Marsa'mi, gdy im miłość odgrywać przyjdzie: to zadanie ich życia; instynkt mają wyższy nad sztukę.

— A! smutne to co mówimy! szepnąłem.

— Jak smutne życie całe dla tych, co w niem szukają snów i ideałów. Wierzaj mi, nie potrzeba żądać za wiele, ani szybki z okna, ani gwiazdki z nieba, ani ptasiego mleka! Gwiazdy nigdy, przenigdy nie zlatują na ziemię... Co do mnie, — przerwał zwracając rozmowę, — stokroć wolę proste dziewczę, świeże, młode, wesołe, do którego się nigdy nazbyt nie przywiążę, niż nasze panie zbudowane z krynolin, fałszu i waty, a tak wyuczone kłamać, że w końcu z niemi o wszystkiem na świecie zwątpić przyjdzie: — o samem sercu człowieka. A! — dodał ciszej, kto raz jednę z nich kochał, z wiarą wielką, z czcią jak dla Boga, i zdradzony został haniebnie, oszukany, sponiewierany; kto jak w tej bajce o Meluzynie, zamiast anioła ujrzał u boku swego poczwarę, ten nigdy już kochać nie potrafi!

— Dlaczegoż znowu za jednę potępiać wszystkie? — spytałem, widząc go mocniej poruszonym, niż zwykle.

— Bo świat kształci je wszystkie na wzór jeden. Panie Albercie, — dodał ze wzruszeniem, które u niego było stanem wyjątkowym, — ostrzegam cię, chceszli żyć i być spokojnym, nie daj się nigdy ułudzić, nie wierz nigdy oczom, ustom, mowie, dłoni, bo cię wzrok, słowo i uścisk zabiją...

W tem jakby postrzegł, że się zadeleko posunął, rozśmiał się na całe gardło, choć łzy miał w oczach i dokończył:

— Nie ma to jak proste dziewczęta! Te się tak naiwnie zwodzą, że żalu mieć do nich niepodobna. Oszukaństwo to, białemi nićmi szyte, na chwilę nie obałamuca... i lepiej!

Na tem skończyła się pamiętna dla mnie rozmowa, która przyznaję, wiele mi dała do myślenia, alem ją sobie wprędce wytłumaczył dziwactwem zużytego człowieka.

Nazajutrz Halka, która dobrze wiedziała oddawna o wieczornych moich z hrabiną rozmowach i nie mogła niedojrzeć zawiązującego się poufalszego między mną a Laurą stosunku, schwyciła pierwszą zręczność, gdyśmy z nią i z Władysiem poszli na przechadzkę, by użyć innego sposobu uchronienia mnie od grożącego niebezpieczeństwa, o którem wyraźnie mówić ze mną nie mogła.

Zaczęła niby przypadkowo opowiadać mi o przyjaźni hrabiny dla doktora, dla sędziego, dla barona, dla kuzynka i kilku jeszcze młodzieży, ale w ten sposób, bym w obrazie drugich dojrzał siebie, i przekonał się, że mnie nic wyjątkowego, nadzwyczajnego nie spotkało. Obraz był tak trafnie skreślony, żem słuchając go ostygł, myśląc, że Halka chyba nas podpatrzyła i podsłuchała;

ale nie! komedja grana ze mną, była już może setną reprezentacją, zawsze z wielkiem powodzeniem powtarzanego dramatu.

Te dwie jedna po drugiej rozmowy znowu mnie jakoś na chwilę powstrzymały: ulękłem się, przyznaję, najwięcej może śmieszności.

Pewnego zaraz potem wieczora starałem się uniknąć dobrowolnie samotnej z hrabiną rozmowy; wymknąłem się z Władkiem do ogrodu; a żem zwykł był spieszyć i nastręczać się o tej porze, Laura postrzedz to musiała.

Przy herbacie zaraz, wobec wszystkich, przyszła mnie po cichu spytać o przyczynę. Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Cóż to jest?... — szepnęła strojąc minkę smutną i pochylając się tak ku mnie, ze woń czarnych jej włosów wciągnąłem z oddechem, — pan mi się buntujesz, pan jesteś niewdzięczny... Jedynej chwili odetchnienia i spokoju, jaką mam w nudnym dniu długim, godziż się mi odmawiać?

A głos jej stłumiony gdy to mówiła, był prawdziwym Syreny głosem; zapomniałem nauki, przestrogi, postanowień: czułem, że dałbym się ukrzyżować za nią. Rękę położyła zwolna tak, aby nikt ruchu tego nie dostrzegł, na dłoni mojej, uczułem jej przyciśnienie, serce uderzyło mi gwałtownie, ale czarodziejka w tejże chwili pewna, że mnie zwyciężyła, odwróciła się z uśmiechem i odeszła obojętnie żartując z sędziego, który się skarżył, że marzł w salonie, choć wszyscy znajdowali, że prawie było gorąco.

Nigdy może naglejsza zmiana w twarzy, wyrazie, w głosie jej nie zaszła; alem był tak szczęśliwy, że mnie to nie uderzyło. Prawdziwe uczucie nigdy tak prędko nie przechodzi; tn nikt ani mógł posądzić, co między nami zaszło, tak szybko zmieniła się z czułej kochanki w pogardliwą panią.

Jedna tylko Halka siedząca blisko zarumieniła się niezmiernie, wstała i padła zaraz na siedzenie, jak gdyby krzyknąć miała, a głos wstrzymywała siłą. Po chwili twarz jej pokryła się bladością śmiertelną, wymknęła się i wyszła po cichu. Wzrok jej rzucony na mnie, powiedział mi, że widziała wszystko.

Zmięszało to mnie, ale byłem do tego przywykły, że hrabina wcale się jej nie wystrzegała, pewna jej milczenia; surowa względem niej lub obojętna, nie dbała o to wcale, że dziewczę co chwila chwytało ją na dowodach płochości, które zawsze umiała wytłumaczyć z nieporównaną śmiałością.

Pojmujesz, żem nazajutrz biegł do niej o szarej godzinie, mówiąc sobie:

— Żyć choćby jedno mgnienie oka z nią, a potem umrzeć, zginąć, cierpieć!

Znalazłem Laurę oczekującą mnie widocznie, opartą na ręku, smutną, łzawą. Powitała mnie milczącym uściskiem dłoni. Uczułem się ośmielony, zdawało mi się, żem powinien był od tego zacząć, na czem ona wczoraj stanęła; ale hrabina jakby już zapomniała o tem wszystkiem, nie dozwoliła mi się odezwać. Uskarżać się zaraz zaczęła i boleć nad sobą.

Domyślałem się, że ją coś nowego dotknąć musiało, ale się nie śmiałem odezwać; nie umiałem zapytać.

— Ja cię nudzę, kochany panie Albercie — rzekła w końcu, — ale potrzebuję kogoś, przed kimbym się szczerze, z głębi duszy wyspowiadać mogła. Po całych dniach muszę udawać szczęśliwą, wesołą: z panem jednym wolno mi być sobą. Czuję, że w sercu twojem znajdę współczucie, pociechę, boś sam cierpiał, bo nie należysz do tego świata fałszu i obłudy, wśród którego my żyć jesteśmy zmuszeni.

I ona, ona! także skarżyła się zawsze na świat fałszu i konwencjonalnych form pełny!!

— A! pani — rzekłem w uniesieniu — gdybym mógł krwią moją kupić ci chwilę szczęścia i pokoju, jakżebym wylał ją chętnie!

Uczucie w piersiach stłumiło mi słowa. Spojrzałem na nią, i ledwiem oczom mógł wierzyć: uśmiech prawie szyderski przebiegał piękne usta Syreny; zmieniła ton, jakby mię nadto ośmielić nie chciała.

— Ostrożnie, panie! — zawołała — ostrożnie! nie wiesz zapewne, że mnie otacza fatalność jakaś, która się zlewa na wszystkich, którzy mi są przyjaźni, którzy zbliżają się do mnie. Nikt nigdy długo nie dochował mi uczucia, nikt jeszcze nie był mi wiernym, każdy mię w końcu przeklinał! Miałożby to samo stać się z naszą przyjaźnią?

— Nie! nie! — zawołałem — ci wszyscy, o których mówisz, nie byli ciebie godni!

Wstrzymałem się przerażony.

— Mówmy o czem innem! — przerwała nagle — boję się o pana: możesz mię źle zrozumieć; za daleko zajść możemy.

Ta przerwa w rozmowie więcej znaczyła niż sama rozmowa; dla każdego innego nie dla mnie, onaby była dostateczną wskazówką, by jej paść do nóg i wyznać tę miłość, którą dla niej czułem: jam zamilkł spokojnie, zamykając w sobie złote ziarenko nadziei.

W kilka dni potem znowuśmy wielkie uczynili postępy. Hrabina dozwoliła, bym część jej dziennika przeczytał, potem zażądała, bym dla niej mój zaczął pisać, i codziennie go jej przynosił. Krok tylko od tego pozostawał do listów, i poczęliśmy pisywać do siebie; a że w obec papieru człowiek jest daleko śmielszym niż twarz w twarz z piękną kobietą — pojmiesz, jak stopniami do najzuchwalszych wyznań przyszedłem w listach moich.

Nie rozgniewało jej to jednak, śmiała się tylko ze mnie, a odpowiedzi tak zręcznie były pisane, że obok najgorętszego uczucia, mieściły najsurowszą moralność i religijne uniesienie... Często koniec był przejęty Bogiem, strzelisty jak modlitwa, gdy początek cechowała czysto ziemska tęsknota, lub wyrzekania przeciwko ludziom i światu. W ogóle były to ładne parafrazy bardzo znanych rzeczy.

— Ale dość — dodał Wojtek wstając drżący, — dosć już tego: nie chcę ci opisywać wszystkich uczuć, któremi w tych dniach szczęścia miotany byłem, od pierwszego ukradkowego westchnienia do wyznania, na które zebralem się na ostatek, mimo braku odwagi

i siły. Opierałem się, walczyłem, musiałem upaść w końcu.

Hrabina na pierwsze wyznanie, którego od dawna się spodziewała i oczekiwała, ku któremu mię znagliła, odpowiedziała zimno: nie odepchnęła całkiem, nie zgromiła zbyt surowo, nie zakazała mi pisać więcej, ale uznała potrzebnem pohamować nieco moje szaleństwo.

— „Mylisz się pan, — odpisała na list mój, — gdy sądzisz, że serce rozbite, zbolałe, które przecierpiało tyle, ile nie skonawszy przeboleć można, jest w stanie wypłacić ci się uczuciem, jakiemby miłość twoja nagrodzoną być powinna. Nie — ja takiego przywiązania nie chcę, ja nie pozwolę, byś miał ukochać namiętnie trupa, w którym już serce bić przestało; — nie mogę być występną, nie potrafię złamać wiary. Jeżeli ci dosyć przyjaźni mojej, współczucia, przywiązania siostry, przyjm dłoń, którą ci podaję szczerze; jeżeli zaś myśl unosi cię dalej — uciekaj odemnie i zapomnij nieszczęśliwą...“

Gdybym był takim pospolitym kobieciarzem, który igrając sobie z uczuciem, życie spędził na zalotach i zwycięztwach łatwych a smutnych; list ten byłby mi dał poznać, że hrabina jest wietrznicą usiłującą tylko ocalić pozory: jam go w prostocie ducha wziął co do liteoy, uwierzył święcie w to, co pisała dla formy, i mocno się nim zasmuciłem. Zapewne ta naiwność człowieka, który nic kobiet nie znał, litość w niej wzbudziła; zlękła się może przewidując, że wszystko równie brać będę ściśle, wierzyć niezłomnie, i miłość zbyt podnosząc wysoko, mogę z niej zrobić dramat niedogodny, gdy ona chciała mieć tylko zabawkę.

Po zamianie tych listów ujrzałem ją nieco ostygłą, alem zaraz przypisał to tylko niezmiernemu mojemu zuchwalstwu, bo mi się zdało grzechem i świętokradztwem, dotykać skrzydeł tego anioła. Stałem się więc pokornym by ją przebłagać; począłem przysięgać i zaklinać się, że nie zejdę z drogi, którą mi wytknęła.

To zaręczenie niezrozumiały naówczas uśmiech wywołało na jej usta. Jakże głupim wydać się jej musiałem!

Hrabina powinna była nareszcie się domyśleć, że z takimi jak ja prostymi ludźmi, niebezpiecznie jest grać w grę, która tylko z lekkimi większego świata, nawykłymi do komedji, bezkarnie uchodzi. Nie wiem już jakiby obrót wzięło to moje szaleństwo, gdyby nieprzewidziana okoliczność nie przyszła w porę przerwać na czas jakiś, coraz bliższych i ściślejszych stosunków naszych, które dla mnie stały się już życia potrzebą.

W pośród dramatu, który ci opowiadam, cierpiałem już wiele: miłość moja była gwałtowną, wyłączną, pochłaniającą, pierwszą w życiu i ostatnią; nie umiałem z nią igrać jak ona: dręczyła mię jak najboleśniej wywołując zazdrość, uczucie najprzykrzejsze z szeregu tych, które ona wiedzie za sobą.

Hrabina dawała mi do niej powody nieustanne. Zazdrosny byłem o sędziego, który także miał swoje w dniu godziny, o kuzynka, z którym długie sam na sam pod pozorem herboryzacji nagle polubionej, odbywała przechadzki, o doktora Ferreti, mającego zawsze wstęp do jej pokoju, który czasem po kilka godzin się z nią

zamykał; nawet o Niemca barona, do większych niż ja przypuszczonego przywilejów i poufałości.

Chwytałem między nią a nimi wszystkimi niepostrzeżone prawie jakieś znaki porozumienia, podsłuchiwałem szepty; ale gdy rozgorączkowany oczywistemi dowodami płochości Laury, ośmieliłem się jej choćby słowem napomknąć o męczarniach, jakie mi zadawała, umiała tak wyśmiać moją nieznajomość świata, zawstydzić mnie i uspokoić, a maluczką łaską jakąś uśpić znowu na długo, żem sobie potem sam gorzko moją wyrzucał podejrzliwość.

Nazajutrz znowu przychodziła okrutna rzeczywistość otworzyć mi zawiązane namiętnością oczy i wskazać, żem się dał ukołysać zbyt łatwo; alem już nie wiedział sam co począć. W tych ciągłych udręczeniach zazdrości i podejrzenia trwałem nieprzerwanie, przerzucając się z niewiary w nieograniczone ślepe zaufanie, ze zwątpienia w najzuchwalsze nadzieje.

Mniej ufny i wierzący byłbym dawno przejrzał lepiej, ale miłość żyje złudzeniami, potrzebuje ich, szuka, sama sobie kłamie. Miałem w ręku jej liściki do barona i kuzynka, bo jak wiele kobiet gorączkowo lubiała pisać, a kartki te i odpowiedzi swych przyjaciół rzucała wszędzie najnieostrożniej w świecie; ale szanowałem tajemnicę listów, i anim śmiał w nie spojrzeć.

Gdym raz tę korespondencję wyrzucał jej, oburzyła się na mnie tak surowo, żem ze strachu musiał zamilknąć.

Na twarzy mojej, w rysach i oczach czytać już można było męczarnie, jakich doznawałem, bo hrabia

nawet kilkakrotnie mnie pytał: co mi jest? Odpowiedziałem mu, że nie czuję bym cierpiał, i nie widzę w sobie żadnej zmiany.

Halka także nie spuszczała mnie z oczu, a że już nie jednego takiego dramatu była świadkiem, mogła się łatwo domyśleć, co się we mnie działo, czasem rzucając słowo przestrogi, lub opamiętania. Ale w tej gorączce, jaka mnie trawiła, nie było lekarstwa, któreby poradzić mogło. Brnąłem coraz głębiej i niebezpieczniej, cierpiałem coraz mocniej, byłem chory nawet na ciele, wzruszeniami wycieńczonem, nieustannie drażnionem myślą, żądzą i niepokojem. Jużem się był oswoił z ciężką mi zrazu zdradą, którą z początku srogo sobie wyrzucałem, jużem się obył z ludźmi, którzy moją zazdrość budzili, gdy niespodziane przybycie nowej postaci, na nowe mię wzięło tortury.

Był to znowu jakiś daleki kuzyn hrabiny, tylko co w świat wchodzący, a szeroko już sławny ze swych nadzwyczajnych talentów, rozumu i dowcipu. Bogaty, piękny jak Antinous, form wielkiego świata, znający całą Europę na palcach, w dodatku miał za sobą wydaną już w Lipsku na przepysznym papierze, drukiem nowiuteńkim, książeczkę poezji mistycznych, potężnie niezrozumiałych, choć nie bez ognia i talentu pisanych, które go świeżo aureolą wieszcza okryły.

Pan Gustaw, nosił bowiem to imię, przejeżdżając tylko, przez prostą grzeczność przybył do Darowa na dzień jeden, i nazajutrz miał odjechać poznawszy krewnych; ale pierwszego wieczora zaraz Laura o wszystkich swych dawnych czcicielach zapomniawszy, uwzięła

się i sprzysięgła, zatrzymać i go u nóg niewolnikiem położyć. Dla niego stała się nową istotą: przebrała, przetworzyła, zmieniła, wysypując przed nim wszystkie skarby imaginacji, dowcipu, nauki, talentów; odmłodniała jeszcze czarodziejskim jakimś wdziękiem i tyle potrafiła w ciągu jednego wieczora, że Gucio zdumiony, usidlony, przejęty, pozostał dzień jeszcze, a potem na dni kilka. To aż do zbytku już widoczne polowanie na młodego bohatera i mnie w końcu oburzyło, rozgniewało, zrozpaczyło.

Wszyscy jej wielbiciele etatowi odstąpili na stronę smutni; ja wrzałem ze wściekłości. Im namiętność moja była gwałtowniejszą, tem też uczucie, zdradą wywołane, silniej mną miotało.

Ujrzałem nazajutrz i dni następnych manewra, których doświadczałem sam na sobie, z małemi odmianami zastosowane do nowej pastwy; posłyszałem niemal też same słowa, schwyciłem w drodze te same uśmiechy i wejrzenia łzawe, i westchnienia tajemnicze, któremi ja poległem zwyciężony.

Byłem jak gracz, który ostatni od ust odjęty szeląg postawił na kartę i postrzega nagle, że z oszustami ma do czynienia; trudno mi bardzo było powstrzymać się od jakiejś rozpaczliwej sceny. Byłbym się nawet w pierwszej chwili dopuścił niewątpliwie jakiegoś wyskoku, ale hrabina zapomniawszy o mnie zupełnie, pod jakimś błahym pozorem odebrała mi moje przywileje wieczorne, wstęp zwykły do salonu, przestała pisać, na listy moje odpowiadała milczeniem, i widocznie mnie unikała.

Gustaw zupełnie ją pochłonął: głowa jak mnie i tylu innym, zawróciła się biednemu: sądził się pierwszym i jedynym. Lepiej wprawdzie był zbrojny, bo znał świat ten, wśród którego się urodził; ale po stu doświadczeniach bolesnych, człowiek setny pierwszy raz tak się gotów dać uwikłać, jakby nic nigdy nie znał: teorja na nic się tu nie przydała.

Cały dzień czytając, rozmawiając, śpiewając, grając, rysując, Gucio i Laura byli z sobą; kartki biegały między nimi od rana, nie wychodził prawie z salonu.

Użył tego interwallu hrabia, zawsze mi życzliwy, by mię znów ściągnąć na pogadankę, i w rozmowie zaczął śmiać się jakby z Gustawa, co łatwo mi przyszło zastosować do siebie.

— Temu młokosowi — rzekł mi poufale — wyraźnie żona moja zawróciła głowę, a sądziłem, że lepiej zna kobiety. Choć i to prawda, że im się oprzeć nie łatwo. Najlepsza w świecie istota Laura, — dodał — ale z kościami kobieta: wszystkichby chciała w swe poddaństwo zapisać. Gdy się trafi ktoś nowy, nie puści go, póki jej nie uderzy czołem: musi choć westchnąć, choć zaboleć! Ha! cóż chcesz, cała w tem chwała kobiety. Bóstwa te koniecznie ofiar potrzebują: minąć ich, nie pokłoniwszy się, nie można...

— Ale Gucio prędko się wyszumi — dodał. — Gorzej jest, gdy to padnie na człowieka, który przywykł wszystko w życiu brać nazbyt serjo...

— Możnaż i godziż się brać inaczej? — spytałem.

— Nie tylko można, ale potrzeba — odparł hrabia. — Mylisz się okrutnie: życie jest sobie niedorzeczną

zabawką, a kobiece sprawy dzieciństwem: *Experto crede Roberto.* Wy to tylko naiwni Werterowie w łeb sobie strzelacie dla tych bałamuctw, my je zbywamy ruszeniem ramion...

— A gdzież — zawołałem mimowolnie z zapałem — ta miłość wielka, święta miłość, którą marzymy w młodości i śpiewają poeci?

— Jest właśnie tylko u poetów, i z bzami wiosennemi rozkwita na chwilę w młodości, by zaraz zwiędnąć, zerwana z łodygi, lub na pniu szczernieć od pierwszego deszczu i rosy. Wy z chwili chcecie robić wieki... a listkiem tym złotym kopuły pozłocić nie można.

Mówił tak długo, a mimo sceptycyzmu uczuciowego, znać było, że nie zagojoną jakąś bolał raną. Jam już milczał, ale słowa jego obijały się o moje uszy nie dochodząc do serca, które biło inaczej: cierpiałem nie mogąc się dać przekonać.

Laury jeszczem dostąpić nie mógł. Zawsze dla mnie zimna w towarzystwie, teraz udawała, że widzieć mnie nie chce; jam się wściekał, gryzł i męczył czekając chwili, czatując tylko, by wylać z siebie całą żółć i gorycz, która mi przejmowała serce. Ale niepodobna było zbliżyć się do niej, bo Gustaw nie odstępował jej prawie na chwilę; widocznie szczęśliwa była i tryumfująca.

Dopatrzyłem jednak zręczności, gdy hrabia prawie gwałtem zabrał kuzynka do siebie, i pod pozorem Władka wparłem się niemal siłą do salonu, w którym zastałem ją, z odprawionym lwem drugim, na bardzo

żywej rozmowie, zapewne tej samej treści, z jaką ja także przychodziłem.

Stali zbyt blisko siebie, a śliczne jej czarne oczy były wytężone na lwa, który się w istocie nadto przybliżył; przysunęła się ku mnie.

Kolej przyszła na nieszczęśliwego przyjaciela twojego.

Kuzynek numer drugi wybiegł, ostatniem ją żegnając wejrzeniem; wzrok jej i uśmiech przeprowadziły go do drzwi, lejąc mu balsamy pociechy: czuła, że był rozbrojony.

Ja chciałem właśnie przystąpić z wyrzutami, gdy hrabina domyślając się ich z mojej twarzy, nie czekając na nie, surowo zmierzywszy mię wzrokiem, poczęła sama:

— Cóż to jest? — zawołała marszcząc brwi groźnie — dałażem prawo panu ścigać mnie i prześladować? Już od dni kilku widzę z jego wejrzeń, twarzy, ponurości, że cię ta nieszczęsna zazdrość trawi? Mam prawo być obrażoną! Za kogoż mię pan bierzesz? Za jedną z tych kobiet zalotnych, które nie są godne ani wiary ani szacunku? Powiedz mi pan otwarcie, Albercie, nie wierzysz mi?... Miłość, która nie ufa, nie jest miłością.

— Miłość, która nie zazdrości, nie jest nią także — przerwałem, — lecz nie mamże powodów?

— Powodów!!! — zawołała tupiąc nogą — ciekawam?!

I tak dumną, majestatyczną przybrała postawę królowej, żem zmalał i znikł przed nią.

— Czuję — dodała — co mi pan powiesz! Teraz zapewne Gustaw go niepokoi? Dzieciak, który mnie bawi! A! jak ci ludzie są śmieszni.

I żywo przechadzając się, ruszała ramionami.

— Ale kiedyż — dorzuciła po chwili zniżając głos i zbliżając się do mnie, czulsza i łagodniejsza, choć pewna siebie i nie bez cienia szyderstwa, bo przewidywała, że odejdę znowu oślepły i omamiony — kiedyż się pan pozbędziesz tej śmiesznej zazdrości swojej? Ja się narażam dla ciebie, ja ci poświęcam uczucie obowiązku, ja zdradzam zaufanie męża... a ty! ty mi płacisz niewiarą!

Wyrzekła to głosem tak przejętym, z oczyma tak łzawemi, wyciągając ku mnie rękę, że mi nic nie pozostało, tylko białe, drżące, ucałować paluszki, i paść do nóg, by ją przeprosić.

Milczałem upokorzony, nie śmiejąc się odezwać.

— Cóżem ja winna — mówiła dalej, — że się on kocha we mnie? Bo prawda — dodała zwycięzko, — że się szalenie zakochał!

— A! pani — rzekłem — cóż dziwnego? A nie przyczyniłażeś się do tego sama trochę... troszeczkę?

Uśmiechnęła się.

— Kobieta jest z natury zalotną — odpowiedziała,— i musi nią być; ale od tej zalotności wrodzonej do płochości daleko jeszcze, a ja — wymówiła ciszej, serdecznie, wymownie zwracając na mnie oczy — ja ciebie kocham, kocham, kocham!

Ten wyraz drogiemi wymówiony usty, zwyciężył we mnie resztę wątpliwości i bolu; i gdy w progu

ukazał się niecierpliwy Gustaw, przychodząc pod pozorem jakiejś książki, odszedłem upojony, prawie szczęśliwy, i nie zazdroszcząc mu wcale.

A! wytłumaczcie mi proszę, serce ludzkie.

Czułem w głębi, żem był oszukiwany niegodziwie, widziałem, że ze mnie robiono sobie igraszkę, a łudziłem się walcząc uparcie z oczywistością, by wmówić sobie, że ona była marzeniem. Pragnienie serca, przywiązania, którego mamiącej skosztowałem rozkoszy, było tak wielkie, że mnie zaślepiało na wszystko.

Jednak szczęśliwy odchodziłem, choć czułem na dnie duszy niepokój i trawiącą wątpliwość, a głos wewnętrzny mówił mi ciągle:

— Ona cię uwodzi!

Gucio, który miał zabawić kilka godzin, skutkiem wrażenia, jakiego doznał, został z nami na dni kilka, na kilka tygodni, potem na parę miesięcy; miałem więc czas oswoić się z nowem położeniem mojem, a gdy wreszcie przeszła pierwsza schwytania go żądza, gdy już został ujarzmiony i przykuty, wróciły moje wieczorne godziny, choć rzadsze i krótsze. Nie postrzegłem zaślepiony, że hrabina męczyła się niemi, pokutując ze mną za swą chwilową płochość; ale obawiała się podobno plebejuszowskiej namiętności, i musiała jej dawać okruchy na pastwę, aby do rozpaczy nie przyprowadzać.

Hrabia jak z innymi adoratorami żony, pogodził się doskonale z kuzynem Gustawem: lubił go nawet i używał to do polowania, to do gry, to w chwilach nudy jako zabawnego gawędziarza, z którym się tem

lepiej rozumieli, że kuzynek ulegał mężowi, potrosze obawiając się przebudzenia prawej władzy...

Osamotniony, smutny, choć Laura przekonywała mnie, że powinienem był być zupełnie szczęśliwym, tęskny i cierpiący, potrzebując wylać się przed kimś i znaleźć pociechę, zwróciłem się więcej ku Halce, od której dawniej stroniłem. Zdaje mi się, żem ci już dał wyobrażenie o jej charakterze. Życzliwość, jaką mi okazywała, zbliżyła mnie teraz do niej, potrzeba zwierzenia i cierpliwość z jaką skarg słuchała, przywiązały mnie do niej bratersko.

Rozumieliśmy się dobrze, choć nie wyznałem nigdy przed nią, przyczyny moich udręczeń: — kobieta łatwo poznała, na co bolałem. Od dawna usiłowała ostrzedz mnie, ściągnąć z niebezpiecznej drogi, na którą wbiegłem tak porywczo; lecz położenie jej wzbraniało odezwać się otwarcie: musiała obiegać myśl swą, żeby ją zanadto nie czynić wyraźną. Wychowana w tym domu, obawiała się zbyt czarno wystawiać charakter kobiety, która pozornie przynajmniej była dla niej zastępcą matki i opiekunką troskliwą.

Zbliska wszakże, jak to się inaczej wydawało! Jak wiele sierót wziętych z łaski, Halka służyła za okaz dobroczynności, za szyld serca; ale cierpiała, za oczyma nielubiona przez hrabinę, która szanując ją, nie miała dla niej sympatji. Halka, którą pomiatano, przy gościach i obcych była sierotą ukochaną, a w codziennem pożyciu niedogodną sługą. Hrabina czuła, że w niej ma świadka niepotrzebnego i istotę tem samem już nieprzyjazną, że jej postępowanie było naganą ciągłą

życia samej pani. Próbowała użyć ją za narzędzie, za powiernicę; ale Halka z pewną dumą i umyślną ślepotą, zdawała się niechcieć pojąć jej i zrozumieć. Dwie te istoty tak były od siebie różne, że nigdy zbliżyć się nie mogły.

Hrabina odgrywała biegle wszystkie pozory namiętności serca, uczucia, ale w istocie żyła tylko głową, imaginacją, fantazją, powodowała się zachceniami dziecięcemi, nic nie kochała nigdy. Może właśnie temu przypisać należy te nieustanne próby uczucia, które w sobie obudzić chciała, a doznać go nie mogła.

Była ona jak chory, który już jeść nie może, lecz żąda nowych pokarmów, bo mu się zdaje, że znajdzie coś wreszcie, co mu smakować będzie. Halka przeciwnie cała była sercem, choć na zewnątrz wydawała się do zbytku zimną, i hrabina nieustannie ją chłodem prześladowała. Tu był pozor i blask, tam prawdziwe, ciche i głębokie uczucie.

Jest to ogólną miarą w poznaniu ludzi, że ci, co się popisują sentymentami, szermują niemi i na plac je wyciągają, najczęściej nie mają ich wcale: istotne tai się z sobą, a wstyd je zakrywa. Hrabina żyła głową, Halka sercem, ale bojąc się, by nie była zraniona, osłaniała je pozornym chłodem. Świat, który sądzi z powierzchowności, i daje się wziąć na lada komedją, zawsze także eksaltację sztuczną bierze za dobrą monetę, i Laura uchodziła za najczulszą z istot, bo najmniejszy swój postępek umiała rozsławić i pokryć blaskiem; Halkę miano powszechnie za dziewczę zimne,

samolubne, niewdzięczne nawet, gdyż jej miłość i poświęcenie ukrywały się przed światem.

Jam także nie prędko poznał się na niej: uległem powszechnemu błędowi całego domu, który ją uważał za upośledzoną i ułomną.

Dopiero przybycie Gustawa, odsunięcie się hrabiny odemnie, zbliżenie do Halki, dało mi ją poznać, a raczej odgadnąć. Zdaje mi się, że wyjąwszy mnie, jeden tylko hrabia, jak ona spotwarzony i miany za istotę bez uczucia, potrafił ją ocenić: bronił nawet czasami, z oka nie spuszczając nigdy.

Dla hrabiny była przedmiotem pobudzającym do niecierpliwości, cieniem, który stawiła ciągle przy sobie, by się jaśniejszą wydawać.

— Jaka ta Halka szczęśliwa — mówiła nieraz prawie publicznie w salonie, — jaki w niej spokój niezamącony niczem, jaka obojętność na wszystko, jaki dar znoszenia najsilniejszych wrażeń ze stoicką odwagą... albo raczej niedoznawania ich, i przebywania wszystkiego kamiennym chłodem.

— Co do mnie — dodawała zaraz, — jakkolwiek jej zazdroszczę, naśladować nie mogę! Serce mam nadto wrażliwe, duszę zbyt przywykłą do uczuć, bez którychbym wyżyć nie mogła!

Halka wówczas spuszczała oczy, rumieniła się biedna: wystawiona tak na poczwarkę oziębłości i zastygnienia, bronić się nawet nie chciała.

Ale gdy potrzeba było dla chorego Władzia noc bezsenną przesiedzieć, w ciszy dokonać jakiejś ofiary, o której nikt prócz Boga nie wiedział, a hrabina leciała tym-

czasem, gdzie ją unosiła fantazja: Halka poświęcała się ochotnie, nic nie mówiąc i uniewinniając jeszcze, iż cudze zastępowała miejsce. Laura nie była w stanie nawet dla najświętszego obowiązku uczynić ofiary godziny czasu, przeznaczonego na bujanie po świecie, a jeśli wstała w nocy do łóżka dziecięcia, nazajutrz całe o tym heroizmie wiedzieć musiało sąsiedztwo.

Czasem poczuwając się do winy w duszy, hrabina tłumaczyła się z unikania przykrych obowiązków, tem, że boleść zbyt wielkie i głębokie czyniła na niej wrażenie, że z cierpieniem oko w oko bezkarnie spotykać się nie mogła; i płochość szła na karb niezmiernej czułości.

Na widok chorego rozchorowywała się zaraz sama, dwór zbiegał się z flaszeczkami eteru i pochlebstwy, zamykano drzwi, nie puszczano niby wyrywającej się, a kończyło się na tem, że ją zabawiano, i w kwandrans śmiała się najweselej.

Najmniejsze sprzeciwienie się pieszczoszce rozdrażniało ją niesłychanie: nie rozumiała oporu, nie pojmowała niepodobieństwa, gdy o nią chodziło. W domu jeden tylko hrabia jej nie ulegał, i oswojony z tą komedją, zawsze z za kulisy patrzał na nią z obojętnością reżyszera, uchodząc też za posąg kamienny.

Lecz wróćmy do Halki, która widząc mię cierpiącym silnie, a czując, żem potrzebował słowa pociechy, sama starała się zbliżyć do mnie. Poczciwe dziewcze nie śmiejąc zbyt drażliwego dotknąć przedmiotu, odprowadzało mój umysł w sfery jaśniejsze pracy, rezygnacji, wiary.

Zrazu przejęty cały moją namiętnością i ja niewdzięczny niecierpliwiłem się na nią, ale ten słodki głos pocieszycielki brzmiał tak, niezmordowany nawet opryskliwością moją, tak stale z pieczołowitością siostry miłosierdzia odzywał się u mojego boku, żem nareszcie zwrócił się ku niemu znękany i uważniej słuchać go począłem.

Hrabina dostrzegła zaraz jednem wejrzeniem, żem był już bliski ocenienia Halki, i musiało jej to zrobić przykrość, czy wzbudzić obawę, bo natychmiast sama znowu starała się przybliżyć do mnie, aby wpływu jej nie dopóścić. A przy pierwszej rozmowie spytała mnie otwarcie:

— Czy się pan już wyrzekłeś przecie swojego uprzedzenia przeciw mojej drogiej wychowance? Widzę, że lepiej jesteście z tą biedną Halką... Nieprawdaż: ludzie się na niej poznać nie umieją! Prawda, że chłodną jest, zimną, i są ludzie, co cieplejszych serc pragnąc z tem się pogodzić nie mogą; lecz cóż ona winna, że ją Bóg taką stworzył, a jaka nasza zasługa, że nas natura inaczej ukształciła?

Nic nie odpowiedziałem na to, a Laura wkrótce zwróciwszy rozmowę, użyła środków, których znała siłę, by mnie nowemi węzły przykrępować do nóg swoich i odmalowała mi siebie poetycznie jako nieszczęśliwą ofiarę, jako duszę spragnioną ideału i szukającą roztargnienia, aby zapomnieć boleści. Dźwięk jej głosu, żar jej oczów, każdy ruch wyuczony, zalotność umiejętna, którą ja naiwnie brałem za oznakę uczucia, po-

ciągnęły mnie i złamały znowu. Powtórzyła mi sto razy, że mnie, mnie tylko jednego kocha.

— Ale nie! — przerwał Wojtek z boleścią — tego ci opisywać nie będę. Skosztowałem jej ust i poczułem bicie serca w gorącym uścisku, zdało mi się, żem nieba dosiągł: uwierzyłem w miłość, odszedłem, życie gotów postawić na jej skinienie.

W tych rozkoszach i męczarniach nadeszła wiosna, i nagły uczyniono projekt wyjazdu do wód za granicę. Hrabia wcale mu się nie sprzeciwiał, Laura już nim głowę miała tak zajętą, że o wszystkiem dlań zapomniała; ponieważ brakło powodów, podróż była niby dla Władka, a ja towarzyszyć mu miałem. Możesz sobie wystawić, jakie zawczasu roiłem sobie niebiosa z tej przejażdżki, w której mieliśmy być sami prawie, tak długo sami! Byłem tak szczęśliwy, że zupełnie oślepłem!

W przeddzień wyjazdu wybiegłem do ogrodu pożegnać pamiątki po nim rozsiane: chodziliśmy tam nieraz z hrabiną, czytała mi tu swoje francuskie poezje, tu ja jej moje polskie deklamowałem: tu raz pierwszy dając mi rękę do pocałunku, ścisnęła dłoń moją, tam białego ustami dozwoliła dotknąć się czoła. Uświęcone wspomnieniami, żegnałem ławki i ulice.

Cały pogrążony tak w mojej drogiej przeszłości, biegłem, gdy nagle ujrzałem naprzeciw mnie idącą Halkę, która widząc, żem był pomięszany i nieprzytomny, wstrzymała się.

— Panie Albercie — rzekła mi, — dokądże tak bieżysz? co ci jest?

— Mnie? nic! Alboż pani nie widzisz, żem szczęśliwy?

— A!! szczęśliwy! — uśmiechnęła się smutnie — pozwólże pan niech się mu przypatrzę, abym wiedziała jak szczęście wygląda.

I po chwili dodała:

— Na szczęśliwego nazbyt pan jesteś wzruszony i niespokojny; zawszem sobie wyobrażała szczęście jakoś inaczej: majestatycznem, cichem, w sobie zamkniętem.

— I myliłaś się pani: z przepełnionej czaszy napój ucieka za brzegi.

— Bogdajbyś pan się nie mylił! Jeżeli czasza się pieni, a na dnie piany są męty?

— Pani wiesz, że jedziemy! — przerwałem, nie zważając na cicho wyrzeczoną przestrogę.

— Wiem, wiem i szczerze pana żałuję.

— Jakto? nie rozumiem?

— Czuję też, że mnie pan zrozumieć nie możesz... A! panie Albercie, lękam się, żebyś sobie na przyszłość wielkich nie gotował boleści!

— Pani się boisz wszystkiego!

— Nie zapieram się tego, to właściwe sierocie.

— Ja także jestem sierotą!

— Tak sierotą pan jesteś jak i ja, jak ja ubogim, jak ja przybyszem w tym świecie i gościem: czemuż nie myślisz o tem, czemuż się tak przywiązujesz do gospody, w której żyć nie będziesz, a czynisz sobie warunek życia z tego, co długo twojem być nie może?

— Bo nie umiem rachować!

6*

— Chciejże pan choć mniej ufać, choć trochę więcej być ostrożnym.

— Mówmy szczerze — dodała po chwili smutnego namysłu, nabierając odwagi; — hrabina jest istotą wyjątkową, pan wziąłeś ją za pospolitą kobietę; boję się byś sobie źle nie tłumaczył jej przyjaźni dla siebie, byś do niej nie przywiązywał wartości nadzwyczajnej, nie dawał jej znaczenia zbyt wielkiego. Pan jesteś czuły, drażliwy i trochę ślepy: zniesiesz-że później zapomnienie, odosobnienie, zaparcie, obojętność, które pana nieochybnie czekają? Często, zbyt często myśmy dla tych pieszczonych dzieci tylko zabawką!

— Pani zbyt jesteś surową.

— Pan zbyt ufny, a mało jeszcze znasz świata; ale choćbyś nie przyjął przestrogi, chciejże wierzyć, że ci ją nie żadne uczucie nienawistne, zazdrosne, ale szczera tylko dyktowała przyjaźń.

Zarumieniła się; ujrzałem nadchodzącą hrabinę, która okiem niespokojnem śledzić nas się zdawała, i chcieć odgadnąć cośmy mówili z sobą. Halka odeszła spiesznie, zostaliśmy na chwilę sami.

Laura była smutna, lub chciała mi się wydawać zasmuconą, bo nigdy nie można było być pewnym uczucia, jakie ukrywała w głębi, przybierając z równą łatwością wszystkie maski, które wdziać chciała.

— Cożeście tak państwo żywo z sobą rozmawiali? — zapytała mnie.

— Żywo? o! najobojętniej w świecie!

— Przecież? o czem?

— Naturalnie o podróży!

— A! więc to zapewne było czułe pożegnanie, bo Halka z nami nie jedzie.

— Pani żartujesz — odparłem śmiejąc się, — możnaż mnie posądzać o czułość względem panny Heleny?

— A! kto to wie! Mężczyźni mają sposób kochania czasem trzech razem i pogodzenia w sercu tych trzech uczuć, uniewinnienia wszystkich.

— Tylko mężczyźni! — zawołałem.

— A pan nie znasz Halki — przerwała ścigając ją w dali rozgniewanym wzrokiem, — juściż zapewne dobre to dziecko, ale ja wiele cierpię przez nią.

Wielkiemi oczyma spojrzałem na hrabinę.

— Pani! przez nią?

— Nic nie wiesz — dodała szybko, — wszakże ona mi męża bałamuci; on się w niej potajemnie kocha: schodzą się z sobą, widziałam... mam dobre oczy, ale cierpię i milczę... cierpię i znoszę tę zdradę!

— To coś niepojętego dla mnie — rzekłem, — zresztą, czyż nie jest pani obojętnym hrabia?

— Kochałam go — rzekła zmięszana, — a chodzi mi nie tak o jego miłość, której nie odzyszczę, ile o zgorszenie w domu, o oczy ludzkie i języki.

— Zdaje mi się — przerwałem, — że to przypuszczenie najmniejszej nie ma podstawy. Nikt nic podobnego nie dostrzegł, nie domyśliłby się; możesz pani być pewną, że nikomu do głowy nie przyszło, nawet posądzić ich o to.

Laura zarumieniła się gniewem.

— Pan już ją bronisz, to mi dowodzi tego, czego nie wiedziałam dotąd, com zaledwie mogła przypuszczać... I ciebie więc już przeciągnęła na swoją stronę, i twoje chce mi serce odebrać?

Zdziwiony zrazu, po chwili śmiać się zacząłem; hrabina spojrzała na mnie surowo.

— Lauro, pani, — rzekłem — czyż mnie! mnie posądzić można, mnie, którego życie, myśli, przyszłość, wszystko do ciebie należy.

— A! ty jej nie znasz — przerwała; — hrabia z jej przyczyny oddalił się odemnie, ona mnie czerni gdzie może, jak może, odbiera najdroższe skarby, nawet serce dziecięcia.

Łzy się jej w oczach kręciły, i żaden najsilniejszy argument nie podziałałby jak one; przypomniałem sobie rozmowę z Halką, zachwiałem się, zwątpiłem. Ją łzy nic nie kosztowały, bo tak się umiała przejąć rolą swoją, że udając płakała; ale w chwili oschły oczy i znowu zaczęła mówić z żywością:

— Nie znasz jej! nie znasz! to wąż, któregom na piersiach rozgrzała: milcząca, zimna, jak ten gad, a kąsa w chwili, gdy go pieścisz... Nikt jeszcze nie zna mojego życia, nikt się nie domyśla, ile w niem było i jest ukrytych pod uśmiechami boleści!

Ten temat, na którym prześlicznie haftować umiała, znałem już dawno, ale na nowo musiałem skarg wysłuchać, bo białą jej dłoń trzymałem w rękach drżących, i czoło jej pochyliło się na ramię moje, a marzenie szczęścia władało mną i odebrało przytomność.

Trzeba też przyznać hrabinie, że umiała tak odgrywać tęsknotę, boleść, miłość, gniew jak nigdy ich w teatrze nie widujemy. Kto wie, czuła je może w chwili, gdy okazywała, ale to trwało mgnienie oka, a uczucie zmieniało się lada wrażeniem: z łez w śmiech, z radości w gniew, z tęsknoty w szyderstwo...

Mrok padał i musieliśmy udać się do pałacu, dokąd mi hrabina kazała sobie towarzyszyć; ledwieśmy w saloniku jej usiedli, gdy służący oznajmił hrabiego. Udałem, rumieniąc się na widok tego człowieka, że zbieram książki, gotując do podróży. On wszedł spokojny z cygarem w ustach, i powitawszy hrabinę i mnie podaniem dłoni, stanął podparty o kominek. Chciałem się oddalić, ale mnie wstrzymał.

— Więc Halka nie jedzie? — spytał po chwili.

— Myślę, że wolałbyś, gdyby została — odpowiedziała hrabina, — i choćby mi mogła być bardzo użyteczną w podróży, jak zawsze, robię z siebie ofiarę.

Hrabia uśmiechnął się i ruszył ramionami na wspomnienie ofiary.

— Właśnie — rzekł — radziłbym ci, abyś ją wzięła z sobą.

— Doprawdy? — Laura zmięszała się nieco, — cóż to za myśl nowa?

— Proszę o to! — dodał hrabia.

— Alem się tak urządziła.

— To się inaczej rozrządzi — przerwał hrabia stanowczo, — chcę, żeby jechała.

— Chcesz, żeby jechała? — schwytana niespodzianie odpowiedziała Laura — a! więc pojedzie.

Hrabia chwilkę pochodził po salonie i wyszedł. Wyznam, żem w duszy rozwścieklony był na niego; hrabina burzyła się niespokojna, ale nie było sposobu. Halka więc jechała.

Widziałem z oczów Laury, że ten dodany jej świadek wcale nie był do smaku; z przekąsem oznajmiła o tem sierocie, ale wyjazd naglił, stało się według woli hrabiego, która objawiona raz była niezłomną.

Wyjechaliśmy nareszcie. W drodze czekały mnie nowe męczarnie: zazdrość budzona nieustannie w ciągłej trzymała gorączce; hrabina wszędzie znajdowała znajomych, robiła nowe stosunki, a z mężczyznami postępowała jak ze mną i z Gustawem. Starych czy młodych, potrzebnych czy nie, musiała koniecznie bałamucić po drodze; zdaje się, że bez tego żyć nie mogła. Tłum coraz gęstszy powoli otaczać ją zaczął, orszak nasz pomnażał się coraz, odgradzając mnie od niej nieprzebytą ścianą; przy ludziach obchodziła się ze mną z tą wzgardliwą i zimną grzecznością, którą mi potem umiała jako konieczność tłumaczyć; ale nie mniej cierpiałem na niej.

Gdyśmy przypadkiem pozostali sami, wynagradzała to wprawdzie oznakami przesadzonej czułości; ale za chwilę przelotną ileż godzin męczyć się było potrzeba!

Dni kilka potrzebowaliśmy się zatrzymać w Dreznie, a że jakimś dziwnym wypadkiem w pierwszej chwili byliśmy sami, a Halka z chorym zostawała Władysiem, na przechadzkach z nią po okolicach spędzałem może najszczęśliwsze w życiu godziny. Przyszło do tego, że raz pieszo wracając brzegami Elby do hotelu Bellevue,

na Brüllowskim terasie, siadłszy razem, upojony długą rozmową serdeczną, rzuciłem myśl ucieczki i ukrycia się w jakiej dolinie Szwajcarji, Tyrolu, lub niedostępnych Włoch górach. Odmalowałem jej gorącemi barwami szczęście, jakiegobyśmy tam kosztować mogli, spokój i ciszę ustroni, przyszłość pełną zachwytów: słowem sielankę, jaką tylko najrozmarzeńszy umysł dwudziestoletniego dzieciaka utworzyć może.

Uśmiechnęła się z tak w pierwszej chwili nieostrożnem szyderstwem, żem zdrętwiał; lecz wprędce zmieniła wyraz twarzy, i odpowiedziała mi na to:

— A! byłoby to szczęściem jakiego niema na ziemi! Ale godniż jesteśmy je kosztować, my, co kradniemy cudze, co zdradzamy, cośmy rozdzieleni przysięgą? Ty mój drogi, co świata nie znasz wcale, ja com przezeń zepsuta! Ja zwłaszcza — dodała — nieumiejąca pracować, od samotności odzwyczajona.

Mnie to szaleństwo tak się zdawało możliwem, żem się jej wyspowiadał z wszystkiego co miałem: zdawało mi się bowiem, że grosz ten i jaka praca, aż nadto by dla nas dwojga wystarczyły.

Znowu na ustach jej w zmroku ujrzałem uśmiech szyderski, który znikł, zwiany wyrazem przybranej dla mnie tęsknoty.

— Dziecko jesteś! — rzekła; — to co dla ciebie najwyższym skarbem, dlamnieby na zachcenia i fantazje, do których przywykłam rozpieszczona, nie starczyło, a ja sama nic nie mam.

— Lecz gdybym miał wiele, więcej?... — spytałem szaloną pchany myślą.

— Zkądże ty lub ja mieć możemy? — spytała ciekawie.

Nie było niepodobieństwem dla mnie, jak tylko ujrzałem możliwość szczęścia, które się o lichy grosz rozbijało; zdawało mi się, że choćby krwią i grzechem, zdobyć je potrafię.

To, com wówczas powiedział, a czego już dziś nie pamiętam, musiało ją przerazić, gdyż zwróciła zaraz niebezpieczną rozmowę.

— Nie żądajmy więcej nad to — rzekła, — co nam los i tak daje. Kradzione szczęście krótkie być musi: nie trujmy tych chwil uroczych.

We mnie jednak utkwiła myśl uparta zbogacenia się jakiegoś, zbliżenia tem do niej, porwania i ucieczki; oprzeć się jej już nie umiałem, byłem jak opętany, a choć przed nią nie śmiałem więcej wspomnieć o tem szaleństwie, gryzłem się niem i męczyłem. Dzikie i najdziwniejsze pomysły przechodziły mi przez głowę; nie zastanawiając się nad niczem, z pierwszą pocztą napisałem, aby mi moje w pocie czoła uzbierane na starość kilkadziesiąt tysięcy przysłano.

U wód, gdzieśmy przybyli, już je odebrałem i nosiłem je przy sobie, ciągle coś nowego dla pomnożenia wymyślając. Hrabina i o mnie i o tych zamiarach nic wiedzieć nie mogła, gdyż znowu ostąpił ją tłum, a ja prawie już jej nie widywałem; jedna Halka domyślając się czegoś, nie spuszczała mnie z oka, choć jak od własnego sumienia uciekałem od niej.

Życie to tak uroczemi zrazu obiecujące się chwilami, zatruła gorycz na nowo: hrabina tu jak wszędzie,

znalazła niezmierny krąg wielbicieli. Namiętność jej wciągania wszystkich w to czarodziejskie koło, w którem panowała, obudziła się natychmiast; jakiś długo-włosy fortepianista, z którym grywała i śpiewała, najprzód padł jej ofiarą.

Nieborak schwytany na drodze do Londynu, osiadł u wód dla niej, i wzdychał a grał od rana do wieczora. Codzień miewaliśmy go na śniadaniu, na objad, na herbatę wieczorem, i do późnej nocy, towarzyszem wszystkich przechadzek, nieustannym gościem w domu; muzyka tak zajęła Laurę, że nie wstawała od fortepianu.

Przez parę tygodni była nią i wirtuozem zajęta namiętnie; do pierwszej po północy siadywali pod pozorem nut i melodji na taboretach przy Erardzie, i unosili się wzajem nad genialnością swoją; aż przybyły młody dyplomata wyrugował muzyka z łask Laury, która zachorowała na politykę. Było to bogate książątko, dla mnie zagadka niepojęta, istota sztuczna, i tak z człowieka przerobiona na lalkę, żem się nie mógł wydziwić, jak to żyło i chodziło po świecie. Hrabina znajdowała go zachwycającym: w istocie miał wiele tego francuskiego dowcipu, który gotowy się nabywa, jak suknie szyte w magazynie, ale też tyle wart, co tandetne odzienie. Z dyplomatą pzwtórzyła się historja muzyka: czytano wiele i pisano wiersze, bo był na nieszczęście francuskim poetą, i autorem zbioru pod tytułem: *Les étoiles*, pochwalonego w fejletonie *Indépendance* przez *Lecomt'a!*

Rozpoczął nawet poemat na cześć hrabiny: *L'amour et la mort;* ale wstęp tylko wykonany został, gdy młody

malarz, Włoch, który odebrał złoty medal na wystawie paryskiej, przedsięwziął partret Laury malować, i dyplomatę odprawił. Malowanie portretu, mającego być arcydziełem nieśmiertelnem, wymagało długich godzin; wejrzenie musiało się spotykać co chwila, zbliżały dłonie, rozmowa ożywiała się rozprawami o sztuce, i skończyło się na tem, że malowanie szło coraz wolniej, ale malarz uznany geniuszem, zasiadł u nas w domu, zarysowując całe albumy prześlicznemi pomysły, a niekiedy dziwacznemi karykaturami.

Zapóźno niestety doszedłem, żem wpośród nich poślednie zajmował miejsce, pod postacią komara, którego długie, cieńkie nogi moją chudość przedstawiały. Naprzykrzony ten komar na każdej niemal siedział karcie. Choć ślepy i ufny, zostawałem wśród tych szałów jakby udurzony, i instynktowo niespokojony, czułem niemal obłąkanie umysłu; zrzucony ze szczytów szczęścia w rozpacz i zwątpienie, traciłem głowę i najdziksze roiłem projekta. Zdawało mi się zawsze, że jedno bogactwo wyrwać mnie mogło z tego położenia, z którem oswoić się nie umiałem. Gwałtownie zapragnąłem pieniędzy, przez nie tylko mogło się moje marzenie urzeczywistnić. Chciałem hrabinę porwać, uciec z nią i nie wiem już co za szaleństwa roiłem. Alem na to potrzebował miljona!

Zrazu myślałem grać na bursie, bo mi się zdawało, że wygrać muszę, powinienem koniecznie; potem gdy mnie jakiś zły duch zawiódł przypadkiem do sali gry, nagła myśl postawienia przyszłości na kartę jak błyskawica mnie olśniła: postanowiłem grać!

Nie miałem już spokoju, dopókim jej nie przyprowadził do skutku; potajemnie zmieniłem weksel mój na złoto, rozdzieliłem cały skarb na dziesięć części. Straciwszy kilka dni na przygotowaniu się i badaniu szans gry, usiadłem nareszcie do niej, najpewniejszy, że los sprzyjać mi musi.

Leczyłem się tak homeopatycznie jednym szałem od drugiego, namiętność wszczepiając sobie nową w miejsce tej, która mnie trawiła.

W mojem położeniu, przy gwałtownej potrzebie zapomnienia cierpień, gra za pierwszą próbą musiała stać się gorączkowem pragnieniem.

Pierwszy wieczór dał mi już doznać wszystkich tych wzruszeń, dla których gracze więcej się roznamiętniają, niżeli dla pieniędzy.

Upojenie to było dla mnie nowem: co chwila chwytałem nadzieję, i spadałem na dno przepaści. Ostatecznie wygrałem tyle tylko, żem nazajutrz z nowym pobiegł zapałem do stolika. Ale pierwszy ten wieczór, który mi spalił wargi, i stygmat na czystem dotąd sercu położył, zmienił mnie zupełnie.

Oprócz żądzy wygrania, przywiązała się potrzeba narażenia i pasowania z losem. Któż wie, może zabrawszy wszystkie złoto leżące na stole, byłbym powrócił tylko dla tej tajemniczej rozmowy z szczęściem i z dolą.

Nazajutrz wcześniej zasiadłem do gry, i niezmiernie się zadziwił, gdy około północy wśród najzażartszej walki, ujrzałem naprzeciw siebie Laurę, która z dwoma nieodstępnymi akolitami przyszła (jak mówiła przez

pustą ciekawość) zobaczyć, jakie ślady na twarzach ludzi wyciska chciwość i najdziksza z namiętności ludzkich. Posądzam ją o to, że musiała dowiedzieć się o mnie, i przyszła popatrzeć na zgubionego przez się człowieka; oczy się nasze spotkały, wzrok jej był zaostrzony ciekawością; zbliżyła się do mnie, śledząc wszystkie gry przejścia. Zrazu wstydziłem się dawać z siebie widowisko, lecz po chwili ogarnęła mnie niecierpliwość jakaś, zacząłem stawiać coraz grubiej. Ona także dostała woreczka, rzuciła kilka sztuk złota, i najdziwaczniejszym trafem, gdy ja przegrywałem uparcie, w przeciągu pół godziny zdobyła tysiąc luidorów.

Czarne jej oczy zaiskrzyły się, zaczęła się cieszyć, bić w ręce i śmiać jak dziecko nad tą kupką złota.

Zebrała pieniądze, wybiegła nie patrząc na mnie, a ja przykuty do krzesła zostałem, usiłując odegrać się resztkami, ale napróżno. Po północy wstałem złamany i blady, alem miał jeszcze dosyć, by powetować przegraną i powtórzyć próby.

Nazajutrz hrabina, którą jak ludzie, tak wszystko na świecie, na chwilkę tylko bawiło, lecz zajmowało gorąco, z wygranemi pieniądzmi pospieszyła po najdziwaczniejsze sprawunki: chciała cały świat zakupić. Wiedziałem dawno, że namiętnie lubiła stroje, fraszki, klejnociki, zabawki, alem sobie nie wyobrażał, by jej tyle mogły zrobić przyjemności. Wprawdzie to, nad czem się unosiła najmocniej, z czem najzapamiętalej biegała po salonie, nazajutrz oddawała służącej, lub gotowa była przez okno wyrzucić, żadnej długo do niczego nie przywiązując wartości; ale w pierwszej po-

siadania godzinie tak się naiwnie dzieciniła fraszkami, żem jej doprawdy nieraz tych przelotnych chwilek szczęścia pozazdrościł.

Zbogacona nagle, natychmiast zmieniła mieszkanie, gdyż pierwsze nie wystarczyłoby na gromadzące się obrazy, bronzy, sprzęciki, gałganki, i tysiączne gromadzące się nabytki. Wszyscy, wielu nas tam było, musieliśmy przyjmować dary i upominki, a mnie dostał się przepyszny czarny pugilares na listy, który oddając, szepnęła mi, by był użyty na tę korespondencję, com ją na piersiach zwykł był nosić. Nawzajem pobiegłem zaraz wyszukać dla niej jakiegoś godnego jej daru, ale chcąc go uczynić jak najdroższym i najwytworniejszym, wybrałem bransoletę czarno emaliowaną z wielkiem brylantowem spięciem. Poszła na nią znaczna część mojego majątku, który bym był cały wraz z życiem chętnie u nóg jej położył.

Gdym wieczorem przyniósł bransoletę i błagał, by ją przyjęła, Laura niezmiernie była nią uszczęśliwiona: włożyła na rękę, pocałowała mnie w czoło, obsypała podziękowaniami, pieszczotami, poprzysięgła, że się z nią nie rozdzieli do śmierci... A! te drogie słowa tak są sercu drogie, choć wiatr je unosi na pustynie z ust płochej kobiety!

Nazajutrz zaraz ustroiła się w czarną bransoletę, tworząc przedziwną o niej historyjkę, której słuchaliśmy wszyscy podziwiając łatwość, z jaką jej przychodziło cały z niczego wysnuć poemat. Miała ona być testamentowym darem, przysłanym jej z New-York przez spadkobierców pewnego Amerykanina, który długo prześladował

ją swoją miłością i umarł z tęknoty... Opisała nam nieszczęśliwego kochanka tak żywemi i dosadnemi kolory, że ja sam gotowym był w jego istnienie uwierzyć. Wszyscy u stołu oglądali ciekawie bransoletę, aż w ostatku i do moich rąk się dostała; podałem ją Halce, która z uśmiechem spojrzała na mnie, ruszyła nieznacznie ramionami i zwracając mi ją, szepnęła schylając się po serwetę:

— Dobrze panu znajoma!

Zarumieniłem się mocno, alem udał, że niezrozumiałem.

W tydzień potem bransoleta jakoś znikła mi z oczu. Nie śmiałem spytać co się z nią stało, alem posmutniał. Laura domyśliła się przyczyny, i szepnęła mi, że bransoletka zbyt zwracała oczy, że *ktoś* domniemywał się jej pochodzenia, i że dlatego zrzucić ją musiała. Uspokoiłem się, cały gniew zwracając na Halkę.

W kilka dni potem poszedłem do złotnika, który mi ją sprzedał; ujrzałem bransoletkę świeżuteńką w gablotce; sądziłem, że druga podobna, ale postrzegłem nieforemnie wydrapany na niej napis hiszpański:

A hora y siempre.

— Ta pani, z której polecenia pan ją kupiłeś — rzekł mi kupiec, widząc zdziwienie moje, — przemieniła ją wczoraj właśnie na bardzo zabawnego murzynka, sadzonego perłami.

W istocie widziałem murzynka, którym się Laura wielce bawiła, dźwigającego pachitosy w salonie! Serce mi się ścisnęło! Jam w tę drobnostkę myśl moją wcielił, uczucie do niej przywiązał, wysłałem ją, aby

mnie przypominała! Kosztowała mnie część życia, a ona, — ona rzuciła ją jak fraszkę niepotrzebną, po kilku dniach zabawy.

Pobiegłem oburzony zaraz z wymówkami, ze łzami. Laura na przelotną zmięszała się chwilkę, ale wnet dodała śmiało:

— Obrażasz mnie pan! Nie rozumiem co mówisz! Tyle na świecie jest bransolet podobnych! Cóż to znowu!

Musiałem zamilknąć.

Był to tylko wstęp do dalszych prób i nieszczęść moich. Wytłumaczyłem sobie to wypadkiem, kaprysem, obawą i niepokojem razem. Wreszcie i murzynek mnie jej przypominał.

Nie wiem już ktoby był malarza i dyplomatę zastąpił, gdyby w chwili, gdyśmy go najmniej się spodziewali, nie nadjechał Gustaw. Hrabina przyjęła go czule, a że widać rozpoczęty z nim dramat do ostatniego nie doprowadzony był aktu, i młodzik nie znudził jej jeszcze: zajął odrazu dawne swe miejsce u jej boku, i wszedł w przywileje *cavaliere servente.*

Chociaż Gucio bardzo dobrym był chłopakiem, a ja nigdy do nienawiści nie miałem skłonności i wolałem zawsze kochać niż wojować: skutkiem jednak instynktowego poczucia współzawodnictwa, serdecznieśmy się nielubili prawie od pierwszego wejrzenia. On mnie, ja jemu przeszkadzałem; spotykaliśmy się zawsze niechętnie, a choć pozornie grzeczni byliśmy dla siebie, w sercach tliła jakaś iskierka nieprzyjaźni. Zrobił mi przykrość przybyciem swojem, ja mu też wcale zdałem się niepotrzebny; zajął niemal wszystkie godziny, a miłość jego tak była jawną

i gwałtowną, że mnie już nawet, jako hrabinę kompromitująca, oburzała.

Gdym jej tę uwagę uczynił, śmiać się poczęła ruszając ramionami:

— Mnie skompromitować? — zawołała — mnie? Taka jak ja kobieta nie może być skompromitowaną!

Zamilkłem. Z dnia na dzień położenie moje stawało się przykrzejsze. Odepchnięty, zgryziony, nie rad z siebie, niespokojny w duszy, z wyrzutami sumienia walcząc, w szałach i rozpaczach nieustannych pędziłem życie męczarni pełne. Wieczorem czekałem tylko otwarcia domu gry, aby przy zielonym stoliku zapomnieć cierpienia i skąpać się w tej łaźni ukropowych wrażeń. Gra nie szła mi także, skarb mój uszczuplał się, roztapiał, znikał, ale zamiast opamiętania, im mniej mi pozostawało, tem szaleniej pragnąc stracone odzyskać, stawiłem resztki...

Los prześladował mnie widocznie z zajadłością i uporem, którego przemódz nie mogłem; nareszcie ostatnia dziesiąta część mojego mienia została tylko.

Dnia tego z gorączkowym niepokojem oczekiwałem nocy, błądziłem nieprzytomny prawie po okolicy, po domu, gdyż ostatniego wieczoru nie dość, żem grał najnieszczęśliwiej, ale podchwyciłem hrabinę na samotnej z Guciem rozmowie, która mnie oburzyła, a zamiast pociechy, zostałem przez nią nielitościwie i dumnie wyszydzony.

Jużem miał zabrawszy ostatki wychodzić, gdy w progu zawsze litościwa spotkała mnie Halka z wyrazem

smutku na twarzy. Po kilkakroć usiłowała mię już opamiętać i natchnąć spokojem, unikałem też jej; ale z uporem lekarza, który nie zważa na miotanie się chorego, wracała zawsze ze słowem pociechy.

— Panie Albercie — rzekła widząc dziki wyraz mojej twarzy — na Boga, co się z panem dzieje! Zmieniłeś się, męczysz się, opamiętaj się, uspokój, nie wychodź z domu: godziż się panu szukać takich pociech i rozrywek?

— Alboż pani wiesz?

— A któż tego nie wie? całe miasto mówi o jego namiętności do gry, o stratach, które poniosłeś! Ulituj się pan nad sobą, powróć do pracy, do spokoju, do modlitwy! Zaklinam pana, proszę w imię tej matki, której pamięć szanujesz!

Łzy stanęły mi w oczach, wstrzymałem się, i cichy ten głos poczciwego dziewczęcia, pierwszy raz poruszył mię do głębi.

— Dzięki ci pani za przestrogę, za troskliwość — rzekłem, — ale już zapóźno!...

— Nigdy zapóźno do dobrego być nie może, — odpowiedziała.

Spuściłem głowę.

— A! pani — rzekłem — są położenia, w których trucizna lekarstwem się staje: są cierpienia, na które w ogniu szukamy ratunku.

— Czemuż nie w łzach i modlitwie? — dodała.

— Tak! to prawda! ale płakać nie mogę, modlić się nie umiem, a cierpieć mi tak ciężko!

— Mężczyzna, i walczyć nie chcesz, i męstwa pan nie znasz! Na Boga! ochłodnij pan, spojrzyj surowiej na siebie, i przebacz, że ci to mówię.

To powiedziawszy wymknęła mi się; dosłyszałem tylko w jej głosie jakby dźwięk tłumionego płaczu, i ta litość obojętnej dla mnie kobiety, na chwilę zmusiła mnie do opamiętania. Zamiast do domu gry, wyszedłem zawahawszy się do ogrodu otaczającego najętą przez hrabinę willę; ziarno rzucone w duszę moją ręką poczciwą, zaczynało się krzewić.

— Siły! siły! woli! — wołałem sam do siebie — ona cię nie kocha, ona jest płochą zwodnicą! Jej całego świata u nóg mało jeszcze, a ty chcesz ślepy i ufny, żeby ta ręka, co zimne codzień rozdziela uściski tłumowi, dla ciebie drżała jednego!

Ale napróżno przemawiałem tak do siebie, serce wołało namiętnością pożerane:

— Umrzeć lub kochać!

Na samą myśl oddalenia się od niej, stygłem nie pojmując już, żebym wyżyć mógł, nie patrząc na czarodziejkę, nie słuchając jej głosu, nie odbierając tej jałmużny wejrzenia i słowa, którą mi coraz rzadziej rzucała.

W duszy czułem, że z jej strony była to komedja, próba, udanie; nie miałem dla niej szacunku, raczej wzgardę, a mimo to kochałem. W tej miłości była gwałtowna nienawiść, i silniejsza nad nią namiętność!

Przebiegając ulice ogródka nieprzytomny, nagle posłyszałem śmiech cichy, który mnie doszedł od ławki, dobrze znajomej na ustroniu; ucho i serce poznały głos

hrabiny. Jak szalony pobiegłem w tę stronę, nie wahałem się być szpiegiem; zazdrość pędziła mnie paląca.

Przy ostatnich dnia blaskach, oświecających scenę, dla mnie nigdy nie zapomnianą, ujrzałem na ławce kamiennej Gucia, siedzącego obok Laury; trzymał jej rączki w dłoniach swoich, a czoła ich pochylone, świeży jeszcze zdradzały pocałunek. Piękna pani poiła młodzieńca szeptem słów wymownym, wyrazami, które i ja słyszałem niegdyś: przysięgała mu, że go kocha, uspokajała zazdrość, obsypywała pieszczotami.

Ta scena tak dziwnie przypominała mi na tem samem miejscu nie jedną z nią odegraną i przyjętą w dobrej wierze, żem skamieniał patrząc na niepojęte mi oszustwo. Były to te same słowa, te same ruchy, to samo wejrzenie, uśmiech, głos — wszystko.

Ale Gucio niespokojny ukołysać się im nie dawał: ze spuszczoną smutnie głową, z załzawionem okiem milczał pogrążony. Pierwszy raz robak wątpliwości ukąsił go w serce młode.

— Doprawdy, dziwny jesteś mój Guciu, — mówiła doń z uśmiechem — dziwny z tą zazdrością dziecinną. Mogłabym być obrażoną tym brakiem ufności; za tyle miłości, za ofiarę najdroższych mi uczuć wstydu, za zgryzotę sumienia, płacisz mi niewiarą. Czyż zasłużyłam na to?

— Ale ci wszyscy, co cię otaczają?

— Chciałbyś zostać sam jeden, aby cały świat mnie z tobą pokazywał palcami? Nie mogę zerwać stosunków, muszę odwrócić podejrzenia! Nie czujesz-że, iż jednego ciebie kocham?

Gucio milczał.

— Ale ten znowu świeżo przybyły kuzynek...

— To dziecko, wychowaliśmy się razem: co za myśl dziwna! Mam dla niego przyjaźń siostry, ale go kochać!...

— A ten twój nieznośny nauczyciel?

— Kto?

— Albert — rzekł Gucio, — którego każde słowo w piersi mi się wpijało. Nie możesz zaprzeczyć, żeby się nie kochał w tobie?

— Nie mogę mu zabronić się kochać. W istocie, dawno uważałam, że najśmieszniej w świecie zakochał się we mnie, chociaż z nim zawsze jak najsurowiej się obchodziłam, i nic sobie nie mam do wyrzucenia. Nieznośny w istocie z temi swemi rozpaczliwemi wejrzeniami, tragicznem milczeniem, i postawą złego aktora prowincjonalnej sceny.

— Bez żadnego wychowania — dodał Gucio.

— Litość i śmiech wzbudza we mnie, a ty i jego, nawet jego się obawiasz! — zawołała.

— Boś go nadto do poufałości przypuściła.

— Do poufałości? — oburzyła się Laura, — cóż znowu? tego jegomości, któryby zaledwie przystał dla mojej garderobianej? cha! cha!

— Jednakżem go znajdował nieraz w twoim pokoju, sam na sam z tobą!

— Cóż to znaczy? muszę się przecież naradzać z nim o Władzia, a pragnęłabym tę głupią myśl miłości wybić mu z głowy, bo mnie widok jej oburza i niecierpliwi.

— A mnie niepokoi! — ciszej dorzucił Gucio.

Nie słyszałem już więcej, widziałem tylko jak się ich ręce ściskały, jak szeptali patrząc na siebie miłośnie, jak Laura kwiat, którym się bawiła, oddała mu z pocałunkiem, i jak go schował na piersi.

Wryty jak posąg nie mogłem ruszyć się z miejsca, krew wszystka zalewała mi mózg w którym się mąciło, i pierś w której brakło oddechu; nie wiedziałem co począć, chciałem się rzucić i rozerwać tę parę, w oczy jej zadać fałsz i zdradę, ale mnie siła opuszczała, gniew powoli zmieniał się w rozpacz niemą, i gdym przyszedł cokolwiek do siebie, już ich na ławce nie było. Z dłonią w dłoni, opasani rękami poszli powoli śmiejąc się i szepcąc słowa, któremi i ja poiłem się niedawno, między cieniste drzewa ogrodu. Widziałem ich jak widma białe przesuwających się, niknących i zbliżających się znowu, a tak zajętych sobą, że mnie nie postrzegli, choć stałem odkryty, nie myśląc się taić z sobą.

Słaniając się jak piany, wróciłem do mojej izdebki. Zdawało mi się, że umrzeć powinienem, że umrę, że serce mi pęknie, że pierś się roztrzaska, że struny życia zerwać się muszą. Widząc mnie tak pogrążonym, osądził mocno chorym poczciwy Władek, który się przywiązał do mnie, i przybiegł z dziecinną troskliwością dowiedzieć się o moje zdrowie. Szczebiotanie jego, niepokój, dobre serce, jakoś mnie do rzeczywistości i oprzytomnienia przywołały; uściskałem go ze łzami i wyszedłem, aby być samym.

Machinalnie, nie wiem jak, znalazłem się w sali gry; poczułem przy sobie resztę moich pieniędzy i zacząłem grać wściekle, stawiając odrazu wszystko, co mi pozostało.

Tym razem szczęście miałem nadzwyczajne: trzy czy cztery razy podwoiła się znacznie pierwiastkowa stawka; kupę złota przysunął mi krupier; rozdzieliłem ją na dwoje i postawiłem dalej i wygrałem jeszcze.

Ale najupartsze szczęście w grze uledz musi szaleństwu takiemu jak moje... Około północy znikły jak sen z przedemnie wygrane pieniądze, a w kieszeni pozostał przypadkiem zamięszany miedziany grosz, z którym odszedłem wreszcie od stołu, z dziką jakąś rozkoszą, czując się zrujnowanym bezpowrotnie. Gdy mi przyszło wstać, tak byłem złamany i zbity, głowa tak mi gorzała straszliwie, żem się ledwie mógł utrzymać na nogach; przypisano to zapewne wrażeniom gry, chociaż niewiele, lub nic się nie przyczyniła do stanu mojego. Noc tę przepędziłem w otwartem oknie mojej izdebki, szukając chłodu, który dopiero nad rankiem uczułem silnie, i z dreszczem gorączki położyłem się do łóżka.

Nie wiem co później stało się ze mną, ale pamiętam tylko okrutną walkę, jaka się we mnie odbyła: gniewu, oburzenia i namiętności, która mnie do stóp jej przykuła.

Nie ma bardziej upokarzającego położenia nad niewolą taką, która przywiązuje serce do istoty niegodnej szacunku, zasługującej na wzgardę. Płochość Laury, jej brak uczucia, były już dla mnie widoczne: wiedziałem, że igraszkę sobie zrobiła ze mnie, jak czyniła z innych, że była wietrznicą dziwną, co nigdy szczerze,

głęboko nic ukochać nie potrafiła; widziałem to, jej kalectwo i poczwarność, a mimo to wszystko kochałem ją zapamiętale, szalenie, do ofiary krwi i życia. Kochałem w niej utworzony przezemnie ideał, nadzieje moje ostatnie, posąg, Boże arcydzieło, nie wiem już co, nie wiem dla czego — alem kochał, i przestać kochać nie mogłem.

Napróżno umysł silił się zrzucić ją z piedestału: serce dźwigało znowu i padało przed nią.

Ktokolwiek był w tym stanie poniżającym, pojmie, com ucierpiał... jak dręczyć się musiałem, by pogodzić namiętność i rozum, by zamknąć w sobie wszystko, aby nie stracić tylko widoku raju!

Po trzech dniach choroby, w której sennych, gorączkowych marzeniach odbyła się straszna walka, zwyciężony, spodlony, z postanowieniem milczenia, otworzyłem oczy, i postrzegłem u mojego łóżka Władka, który płakał, i Halkę zamyśloną i bladą.

Oni tylko we dwoje pilnowali mnie opuszczonego, hrabina bowiem zaraz pierwszego wieczora zamierzywszy z Guciem i kilką osobami swego towarzystwa zrobić wycieczkę w góry, choć wiedziała o mojem niebezpieczeństwie, odłożyć jej nie mogła. Władzia, jakem się później dowiedział, Halka musiała oddalać, aby nie słyszał, co mówiłem nieprzytomny, i sama dni te i nocy spędziła, pilnując mnie opuszczonego.

Choć niby wyrwany słabości, którą biegły nasz lekarz przerwać potrafił energicznemi środkami, wstając w dni kilka, czułem się w stanie jakimś niezwykłym, rozgorączkowany jeszcze, osłabły i jakby inny. Marzenia dni kilku choroby wycisnęły się głęboko na moim mózgu

i sercu; kobieta która mnie zdradziła, w innem jakiemś świetle snu mi się przedstawiała, obłąkana, niewinna, szalona, chwilami aniołem, a jakimś fatalizmem tylko pchnięta na nieszczęsną drogę... Tłumaczyłem ją sobie, by kochać jeszcze jak dawniej, bo nic mnie z tego szału uleczyć nie mogło.

A stan, w którym przez tych dni kilka zostawałem, powinien mnie był oświecić, bo najmniejszego znaku nietylko czułości, ale nawet troskliwości nie dała mi w chorobie: zajęta Guciem, jakimś nowo przybyłym sławnym jasnowidzącym, i poetą niemieckim, nie miała czasu nawet spytać czy żyję.

Gdym wszedł do salonu upiorem, czarne swe oczy wstrzymała na mnie długo, pytająco, z wyrazem litości, a ta oznaka współczucia chwilowa, która ją nic nie kosztowała, omało mi łez nie wycisnęła. I za ten błysk oczów byłem jej wdzięczny. Litość musiała na chwilę wstąpić do jej serca, bo żegnając mnie, wywołała do salonu i szepnęła, że wieczorem nikogo nie będzie, że przyjść mogę, to będziemy sami, zupełnie sami. Jakoż cały dzień skarżyła się na ból głowy, odprawiła Gucia, poetę, jasnowidzącego, Anglika, który za nią szalał, i cały tabor codziennie ją oblęgający, a gdy nadeszła godzina mroku, przysłała po mnie Halkę.

Cały rozpromieniony, szczęśliwy, skoczyłem całując jej rękę! Niestety! byłem już tak podły, żem zapomniał sceny w ogrodzie, żem sobie ją wytłumaczył, żem uniewinnił płochość i zdradę, byle być z nią chwilę, byle się łudzić dłużej marzeniem i pić truciznę, którą mi podawała. Czułem, że powinnością moją było zdjąć z

niej maskę, alem za tym czynem rozpaczy przewidywał wygnanie, a nie widzieć jej więcej, a nie słyszeć jej głosu, a nie spotkać wzroku, było dla mnie śmiercią!

Halka spojrzała na mnie z litością, westchnęła i odwróciła się szybko, bym łzy nie widział w jej oku: czuła mnie na wieki zgubionym.

Drżący i trzymając się na wodzy wszedłem do przybytku, w którym bóstwo siedziało w półcieniu, jak zawsze, w postawie smętnej, z ręką zwieszoną przez poręcz kanapy, z włosami niedbale spiętemi, w uroczym stroju wieczornym; na ustach jej była jakaś żałość, w wejrzeniu obawa. Widać, że domyślała się, iż muszę więcej wiedzieć niż potrzeba, a próbowała czy śmiałością i pieszczotą przekonać mię nie potrafi, że oczy moje źle widziały, i fałszywie słyszały uszy. Ale ujrzawszy pokornym i znękanym, wnet odzyskała śmiałość, pewność siebie, i przystąpiła do mnie z dobrze odegranem politowaniem.

— Przyjacielu, cóż ci to?... chorowałeś? A! nie uwierzysz, ilem cierpiała wiedząc o tem i nie mogąc przybiedz, siedzieć u głów twoich i choć oddechem i spojrzeniem i modlitwą ci pomódz. Jakżem zazdrościła Halce, która tam odgrywała rolę czułej siostry miłosierdzia. Musiałam udawać obojętną, zimną, gdy serce moje biło niepokojem okrutnym...

I wzięła gorącą dłoń moją w swe zimne atłasowe rączki, zbliżyła się, a poczuwszy ją tak blisko, zapomniałem Gucia, ludzi, świata, płochości, niewiary, zdrady, i chwilę byłem szczęśliwy aż do łez... Ale wnet zburzyła pamięć tę wątłą budowę: wyrwałem jej rękę i zakrywając

sobie oczy, łzy rozkoszy zmięszałem z gorętszemi gniewu łzami.

— Pani — rzekłem łapiąc powietrze, którego mi do oddechu nie stawało, — pani zlituj się nad nieszczęśliwym człowiekiem, który stoi w rozpaczy nad grobem: nie łudź mnie, nie lituj się nademną, nie obiecuj czego mi dać nie możesz, bo nie masz... serca! Ulecz mnie, odepchnij, wyszydź, przynajmniej będę mógł umrzeć!

— Co to jest? gorączka jeszcze? — spytała spokojnie hrabina — wytłumacz mi to pan.

— Policz pani dni, przypomnij wieczór, który moją słabość poprzedził, a dojdziesz jej przyczyny...

— Przyczyny? wszak mi mówiono, żeś pan przegrawszy wszystko, z żalu po pieniądzach wpadł w gorączkę.

— Ja dla pieniędzy! — krzyknąłem łamiąc ręce — dla pieniędzy!

— Pan się zapominasz! — zawołała podnosząc głos — posłyszą ludzie, cóż pomyślą?

— Ludzie! prawda! robić można wszystko, byle ludzie nie słyszeli, byle nikt nie widział.

— Pan jesteś jeszcze w gorączce, — rzekła zimno.

— Jestem zupełnie przytomny, — przerwałem stygnąc — ale wieczorem przed grą byłem w ogrodzie...

— I cóż ztąd? — spytała dumnie.

— Widziałem panią z Gustawem, słyszałem jej rozmowę...

Lekko na mgnienie oka zarumieniła się twarz Laury, ale wnet wróciła do zwykłego spokoju i odzyskała przytomność.

— Cóż pan widzieć, co słyszeć mogłeś? — dodała szydersko prawie. — Gustaw jest moim krewnym, byliśmy i jesteśmy z sobą na stopie braterskiej; zresztą, zdaje mi się, że mu się tłumaczyć nie jestem obowiązaną...

— Choćby z tego, co mu mówiłaś o mnie! — zawołałem.

— O panu? Prawdziwie nie pamiętam, cośmy tam o nim mówili; wiem tylko, że zapewne za mało jeszcze, za łagodnie po dzisiejszej scenie...

I gniewna wzięła za dzwonek, alem się jej do nóg rzucił, całując stopy. Przestrach ogarnął mnie.

— Pani! Lauro! na Boga! — zawołałem, — zdepc mnie, szydź, gardź mną, ale pozwól choć zdala patrzeć na ciebie i nie wypędzaj, nie karż mnie gniewem swoim... Gdybym sto takich rozmów słyszał, na sto scen podobnych patrzał, ja cię nie przestanę kochać, bo jesteś mojem życiem, potrzebą, koniecznością, warunkiem mojego bytu... Będę bolał, ale kochać muszę.

Oczy jej przelotnym, dzikim zaświeciły blaskiem; spojrzała na mnie i rozjaśniła się zwycięztwem tak wielkiem, jakiego dotąd nie otrzymała w życiu.

— Tak! to rozumiem... miłość — rzekła spokojnie,— ona powinna być ślepą, ufną, nieprzełamaną... Wstań pan i nie grzesz więcej! — dodała podając mi rękę z uśmiechem. A po namyśle widząc mnie jeszcze drżącym i przerażonym, kończyła powoli:

— Pan nie znasz i nie rozumiesz kobiety! Cóż, jeśli serce moje potrzebuje tych prób i dramatu codziennego, jeżeli mogę miłość udawać dla wszystkich, a je-

dnego kochać tylko? Znasz-że głębię tej duszy, którą potępiasz, uczucie, które zowiesz występnem? Natura stworzyła mnie nienasyconą, potrzebuję tych hołdów, bawię się męczarnią, ale może kocham dla tego, możem wierna w sercu, choć kłamię usty i dłonią! Musisz być ślepym i posłusznym.

Spuściłem głowę, kajdany moje zakute zostały; hrabina wnet odwróciła rozmowę, rozweseliła się, usiłowała mnie rozerwać i oczarowała znowu, mówiąc na Gucia wszystko, co wprzódy mówiła na mnie i szydząc z niego nielitościwie. Odszedłem znowu upojony, szczęśliwy i oślepły.

Ale stan tej walki, jaka w sercu mojem się odbywała, nie mógł trwać długo: szala musiała się na którąś stronę przechylić. Dziś ostygły (jeśli to ostygnieniem nazwać można) sądzę sam siebie szydersko, zimno, bez litości, dyssekuję się, ale wówczas! Potrzeba było być we mnie, aby pojąć męczarnie człowieka, który się widzi pochwyconym władzą silniejszą nad siebie, postępuje przeciw przekonaniu i rozumowi, a powstrzymać się nie umie, nie może, nie chce!

Wola moja, rozum, wszystko było podbite i złamane; znalazłem się wreszcie w stanie człowieka, który widzi jasno swe szaleństwo, a warjatem mimo to być musi.

Już na jej serce, na uczucie, na miłość rachować nie było podobna, ani się łudzić kłamliwemi jej frazesami: rzeczywistość stała naga przedemną, upokarzająca, okrutna, nielitościwa, byłem pod władzą namiętności upodlającej.

Postępowanie moje, w którem jeszcze było nieco szlachetności, stało się podobne bezwstydnemu pijakowi, który się wlecze do szynku, nie śmiejąc w oczy spojrzeć przechodniom, ach! byleby pić z tej czary, której napoju nie kosztowały usta moje nigdy, byleby marzyć o szczęściu, patrząc w jej oczy. Ustępowałem więc Guciom, literatom, pianistom, dyplomatom, kuzynom i znajomym, a czekałem tylko mojego wydziału, mojej godziny wieczornej, mojej kropli, którą potem żyłem dzień cały...

Nie wiem czy w dziejach serca jest drugi podobny wypadek namiętności, którąby się wyrzekła zazdrości nawet, którąby dobrowolnie dzielić się chciała, byle z działu pruszynkę otrzymać.

A obok mnie stała ta niewinna i święta postać Halki, cichej ofiary, coby mnie była pojęła, coby kochać umiała, a której twarzy Bóg odmówił tego uroku, jakim jaśniało oblicze tej kobiety czy szatana. Czułem promieniejącą w niej dobroć, jakby powiew czułości, a jednak kochać jej nie mogłem, wypłacić się nawet za dowody jej współczucia nie umiałem: niecierpliwiła mnie tylko.

Po ostatniej naszej rozmowie, hrabina obchodziła się ze mną jak z więźniem zakutym, rzucając jak piłką, posługując się, wyśmiewając, pewna, że kiedy zazdrość odepchnąć mnie nie potrafiła, nic w świecie już nie otrzeźwi z szału. Byłem posłuszny, a w nagrodę czasem mi tylko podała rękę białą, lub posłała uśmiech wymowny, którego ja próżnię napełniałem marzeniami mojemi. I byłem szczęśliwy!

Ale i to trwać nie mogło długo; kupione spodleniem, zaprzedaniem się szczęście, ciężyło jak kamień: gryzłem się w duszy, i nowa słabość, straszniejsza od pierwszej, obaliła mnie na łoże.

W snach gorączkowych zdawało mi się, żem ją widział przy sobie, że rozognione czoło chłodną mi studziła dłonią, że szeptała wyrazy pociechy... Niestety! było to tylko złudzeniem.

Powiem ci odrazu, com się dopiero później mógł dowiedzieć. Gdym zachorował, hrabina, która obawiała się tylko zgorszenia i jakiegoś z mej strony wystąpienia, użyła tej chwili, by się oddalić, i rzucić mnie samego na tej obczyźnie.. Zręczność była jedyną: na trzeci więc dzień, gdym jeszcze nieprzytomny leżał w gorączce, upakowano wszystko i zostawiwszy nieco grosza, który mi tam przypadał u nich, na ręce lekarza, piękna Laura postanowiła co najprędzej do Włoch wyruszyć. Halkę oburzył ten chłód i obojętność; biedne dziewczę wpadło błagając hrabinę, by przynajmniej kilka dni, dopóki się los mój nie rozstrzygnie, poczekać chciała. Ale Laura szydersko jej na to odpowiedziała, że może zostać jeśli chce, a ona jechać musi.

Dziewczę poczciwe rozpłakało się, zawahało chwilę, podniosło na nią oczy wyrzutów pełne, i mimo podejrzeń, które poświęcenie jej mogło obudzić, postanowiła pozostać ze mną.

Hrabina w chwili odjazdu sama ją od tego odwieść usiłowała, ale napróżno. Halka ofiarowała się i poświęciła. Jej to dłoń czułem na czole mojem, jej słowa szeptały mi pociechę, jej troskliwości zawdzięczam życie,

które mi ciąży. Gdym przebywszy kryzys ujrzał ją wybladłą i znużoną u nóg łoża mojego, sądziłem długo, że mnie nie porzucono, jak Łazarza na bezdrożu, że nie poświęcono jej także, że Laura była z nami. Halka nie wyprowadzała mnie z błędu, który do wyzdrowienia się przyczyniał, wlewając we mnie spokój i chęć do życia. Kłamała pobożnie przedemną, codzień coś o hrabinie opowiadała, śmiała się, choć jej serce zachodziło żółcią i goryczą. Byłem w ostatku dość silny, by prawdę usłyszeć; z dnia na dzień mi ją przez litość zwlekano, wreszcie poczciwy doktor staruszek zasiadł raz przy mnie i począł dzwoniąc po tabakierce, rozprawiać ni o tem, ni o owem, jakby się do jakiejś przydłuższej zabierał rozmowy. A że się zawsze spieszył, i nie miał we zwyczaju z chorymi na gawędach czasu tracić,. uderzyło mnie to, że przeciwko obyczajowi swojemu, niezgrabnie dosyć tak się wybierał, jak czajka za morze.

Szedł widocznie do gawędki o kobietach, o ludziach, do jakiegoś potrzebnego aksiomatu, a dójść mu do niego było trudno. Przywykły opatrzeć chorego, zapisać lekarstwo, dać szczyptę nadziei, i coprędzej odejść, nie mógł teraz wybrnąć z niezwyczajnego dla siebie zadania.

— Bo nie ma, — rzekł wreszcie, — świętszej istoty nad kobietę, ani gorszej nad nią, gdy raz złą się stanie: to pewna, to pewna!

Kilka razy powtórzył to, patrząc mi w oczy.

— Że są i bardzo święte i bardzo przeklęte, — odparłem, — to stara prawda, kochany doktorze, ale ostateczności nie dowodzą: z nich sądzić się nie godzi o wszystkich. Zwyczajne kobiety stoją w pośrodku.

Doktor zamilkł.

— A co dziwniejsza, — dodał, — że te święte i zacne nigdy nie wzbudzają tak silnych uczuć w ludziach, jak najmniej godne miłości i szacunku.

Czułem już do czego szedł, i serce mi przeczuciem bić zaczęło; a doktor dodał po chwili;

— Ot naprzykład ta Halka, co to za święta i zacna istota!

Spojrzał mi w oczy zimne i w nich znalazł potwierdzenie.

— Jakto ona pana pilnowała w chorobie! — dodał.

Milczałem.

— To nie tak jak ta wasza ubóstwiana hrabina, — dorzucił, ruszając ramionami.

— A cóż to pan masz przeciwko tej hrabinie! — zawołałem zrywając się z łóżka, — dla czego to mówisz o niej? Ona ma obowiązki, ma zajęcia!

Doktor zażył tabaki, powoli ją wciągając z jakąś miną znaczącą.

— No! no! uspokój no się waćpan, — zawołał, — ja nic nie mówię przeciwko hrabinie, tylko się pytam waćpana jakbyś sądził o kobiecie, która rzuca chorego przyjaciela w obcej stronie, korzystając z jego stanu, i pozwala dlań narażać się na fałszywą pozycję, na podejrzenia, na tłumaczenia złośliwe złych ludzi, niewinnej, świętej, pełnej litości istocie?

— Mów pan wyraźniej, nie lękaj się, — przerwałem, — co się stało, co się dzieje?

Doktor ujął mnie za rękę.

— Męstwa, — rzekł, — nie ma co kłamać dłużej. W pierwszych dniach choroby twojej, hrabina do Włoch odjechała ze dworem swoim, a Halce pozwoliła zostać przez litość przy tobie. Rozumiesz to waćpan teraz?

W tem wszystkiem, co mówił, uderzyło mnie najwięcej, że hrabiny nie było. Niezmierna ofiara Halki, jej ciche poświęcenie się anielskie dla obojętnego człowieka, nie dotknęło mnie nawet, tak jeszcze władała mną namiętność; chwyciłem się za piersi, wołając boleśnie na osierocenie tylko.

Doktor poruszył głową spokojnie, w milczeniu ścisnął mi rękę, i odszedł krokiem powolnym. Halka już się nie pokazała więcej, misja jej już była skończoną. Uspokojona zapewnieniem lekarza, nie chcąc wyzywać podziękowań i słów wdzięczności, tegoż dnia sama jedna, o ubogim groszu własnym, którego część jeszcze większą zostawiła dla mnie, pospieszyła wprost do kraju.

Jak dziecko płakałem tego wieczora osamotniony, ale wreszcie potrzeba mi było pomyśleć o sobie, szukać jakiegoś ratunku, coś przedsiębrać.

Halka zostawiła mi tylko list chłodny, trochę własnych pieniędzy, które umyślnie starała się jako z innego źródła pochodzące okazać, i o szczupłym groszu, ściśle obrachowanym, aby się dostać na miejsce, znikła biedna wstydząc się swego poświęcenia. Z przypisku jej dowiedziałem się, że hrabina jadąc do Włoch, na miejsce moje przyjęła do Władzia Francuza, i że na tę posadę nic już rachować nie mogłem. Wszystko to roztargniony odrzuciłem na bok, szukając tylko chciwie

wiadomości dokąd się udała hrabina, bo pierwszą myślą moją było gonić za nią. Nie zraziło mię wcale jej obejście się ze mną prawie okrutne i takiej dowodzące obojętności; nie pomyślałem o własnej przyszłości: począłem rachować tylko, jak i o czem dostać się potrafię do Florencji lub Rzymu.

Noc przebyłem niespokojny w najdzikszych marzeniach; nazajutrz przyszedł doktor jak zwykle. Od niego myślałem coś więcej o podróży hrabiny się dowiedzieć, ale stary lekarz albo sam ją z oczów stracił, lub udawał, że nie wie dokąd wyjechała.

Obliczywszy chciwie mój grosz pozostały, postrzegłem, że mi go na najuboższą podróż do Włoch wystarczyć nie może. Zniecierpliwiło mię to tylko, ale nie odwiodło od zamiaru mojego: postanowiłem bądź co bądź widzieć ją jeszcze.

Łamałem sobie głowę nad tem, jak to uskutecznić, gdy na myśl przyszedł mi hrabia i natychmiast siadłem pisać do niego, prosząc go o pożyczkę, a zarazem malując mu stan, w jakim mnie choroba postawiła. Obrachowałem, że nim przyjdę do sił zupełnych, powinienem otrzymać odpowiedź. Przyłączyłem do listu drugi do Halki z podziękowaniem za jej poświęcenie i staranie, które teraz ostygnąwszy, lepiej zacząłem oceniać.

Tymczasem wstawszy zaledwie z łóżka, błądziłem jak ośmnastoletni dzieciak po miejscach, które mnie wspomnieniami karmiły, szukając wszędzie śladów zniknego bóstwa, upajając się pozostałą po niem wonią pamiątek.

Siedziałem raz na ławce w ogrodzie, gdy stary doktor, który mnie rzadziej coraz odwiedzał, nastręczył się niby przypadkiem. Jakkolwiek ostygły już i obyty z życiem, widać litował się nademną; siadł, naprzód troskliwie zaczynając rozpytywać się o zdrowie moje.

— Człowiek, — rzekł po chwili obojętnej rozmowy, — ma prawie w mocy swej chorobę, którą silną wolą, gdy chce, pokonać może. Najwięcej słabości przychodzi na nas z winy własnej, z namiętności, z braku energii, która cudów dokazuje, gdy jej użyć zapragniem. Wielkie wrażenia, które obudzając wolę uśpioną, stają się nie raz lekarstwami, może człowiek zastąpić silnem postanowieniem i dźwignąć się ciałem, byle duszę pokrzepił. Wierząc tylko w moc swoją, powtarzam panu, cudów nią dokonać można.

Uśmiechnąłem się na te słowa. On kończył:

— Ale kiedy się człowiek podda namiętności, kiedy zwątpi o sobie i obezwładnieje, próżnoby go do życia powoływać środkami zewnętrznemi, materjalnemi, gdy sam doń powrócić nie chce. Pan jesteś zdrów i można odzyskać siły, byle wola — powtarzam.

— A to jak? — zapytałem.

— Mówmy szczerze, — rzekł ciszej, — jesteś pod panowaniem namiętności ślepej i zgubnej, nie starasz się jej nawet pokonać.

— Któż mówi żem się nie starał, żem nie pracował, dopóki zwyciężonym się nie uczułem?

— Nie starałeś się, — powtórzył lekarz; — mógłbyś zwyciężyć, gdybyś chciał. Kobieta, dla której tak oszalałeś dziwnie, upadlająco, jest wprawdzie bardzo po-

wabną, i może głowę zawrócić, ale ona należy do tego rodzaju kobiet, które się same niczem długo nie są w stanie zająć, ani na długo opanować serca.

— Nie mów mi pan nic przeciwko niej! — przerwałem gwałtownie.

Zamilkłem spuściwszy głowę.

— Przeciwko niej nie mówię słowa! — odpowiedział z uśmiechem politowania; — słaba istota została stworzona taką, i jest nią nie mając ni siły, ni woli, by się przetworzyć. Ona tam temu nie winna: winni ci, co w niej widzą więcej niż jest, którzy ją psują i myślą, że w takiej naturze uczucie panować może; winni ci, co sobie ideał tworzą z niepoprawionego dziecięcia! Ona niewinna, zaprawdę wyście winni! — powtórzył po kilkakrotnie.

— Tak jest, — rzekłem, — lecz są przecież, jak to pan wiedzieć musisz najlepiej, namiętności, których człowiek pokonać nie może; są pociągi, których sile oprzeć się niepodobna.

— Tylko z takiemi walczyć nie można, które trwają krótko, — odparł doktor. — Jak tylko jest czas do boju, jest czas do zwycięztwa. A walczyć potrzeba, — dodał wstając z ławki z uśmiechem, — walczyć należy i zwyciężyć!

Słowa te na chwilę mnie tylko zastanowiły, ale powróciwszy do domu, gdym znalazł list, a przy nim weksel hrabiego, spieszącego mi z pomocą, ujrzałem tylko możność dogonienia Laury, i wszystkie dobre myśli i zamiary moje się rozchwiały.

Nazajutrz wybierałem się w drogę, myśl moja wyprzedzała mnie, a radość dzika miotała sercem. Zajęty już byłem pakunkiem, gdy poczciwy doktor przyszedł do mnie, spojrzał na tłumoki, na twarz moją i odgadł od razu wszystko.

— Ho! ho! — zawołał, — dokądże to tak szparko. Pod jasne niebo Italii zapewne?

— Zgadłeś, — rzekłem.

— Wolałbym się omylić, — przemówił siadając, — pomyśl co czynisz?

— Naucz mnie, zrób to, żebym mógł myśleć! — zawołałem, — ja czuję tylko.

— Więc poczućbyś powinien, że lecisz na zgubę.

— Czasem zguba nieuchronna: dozwól sądzić z czem mi lepiej.

Podał mi rękę w milczeniu, pokiwał głową i chciał odejść nie dodając słowa, gdy mi się żal zrobiło poczciwego starca: łzy uczułem na powiece, i dłoń jego z uczuciem przycisnąłem do piersi. Od dawna on pierwszy mi okazał przyjaźń i sympatję.

— Nie sądź, — rzekłem, — bym nie czuł prawdy słów twoich, ale są szaleństwa nieuchronne, są siły niepokonane, są chwile, w których przepaść nas woła, choć na dnie jej widzimy śmierć! Ja nienawidzę tej kobiety, ja nią gardzę, ja się nią brzydzę, znam wszystkie jej słabości, fałsz, który w niej mieszka, a kocham ją zapamiętale, szalenie. Wiem, że miłości tak czystej i wielkiej nie jest warta, bo trzy razy na dzień stara się, nie doznając go, obudzić to uczucie; gra miłość i szydzi z niej; wiem, że co dla mnie świętem, dla niej jest

igraszką; wiem, że mię pôdepce, że odepchnie, a idę za nią choćby o kiju na koniec świata... Tak jest... bo nie może być inaczej.

Staruszek nie rzekł ni słowa więcej, spojrzał mi w oczy, jak skazanemu na śmierć, ścisnął rękę i odszedł powoli.

Nazajutrz opatrznym trafem czy fatalnością jakąś, z pierwszego w rękę wziętego dziennika dowiedziałem się, że hrabina bawiła we Florencji, bo o niej i wieczorach jej w willi pod miastem na drodze do Fiesole położonej, pisano z zachwyceniem. W felietoniście poznałem oczarowanego przez nią.

Już teraz jedna Florencja była tylko dla mnie na świecie; najbliższą drogą, jaką mogłem znaleźć, pospieszyłem do Toskanii.

W innem usposobieniu umysłu, z pokojem w duszy, byłbym pewnie zachwycił się widokiem krainy, która najzimniejszego w entuzjazm wprawić musi, bo w niej resztka jeszcze poezji ze świata wygnanej się skryła: teraz wjechałem pod to niebo lazurowe, w tę atmosferę czarów i woni, na ziemię klasyczną, z niecierpliwością, na nic nie patrząc, nic nie widząc, czekając rychło li się ukaże płowe Arno i Giottowskie arcydzieło, dzwonica Panny Marji kwiecistej. Stolica Medyceuszów nie pociągała mnie ku sobie cudnemi sztuki pamiątkami, swą sławną trybuną, galerjami, dziełami Fra Angelica, Michała Anioła, Benvenuta; nie szukałem w niej kamienia Danta, ani tych fresków, których życie, śmierć dzisiejszej zadaje sztuce: goniłem za Syreną.

Przybywszy w nocy, nazajutrz pieszo odbyłem tę drogę malowniczą, która wiedzie do Fiesole; biegłem spragniony choć ujrzeć z daleka miejsce, w którem ona żyła. Ukazano mi w lewo nad gościńcem, który powoli wspina się ku wierzchołkowi góry, stary klasztor, przerobiony dziś na willę w cudnem, panującem w okolicy położeniu: kręta, wysadzana cyprysami czarnemi droga wiodła do gmachu, jeszcze noszącego cechy dawnego przeznaczenia. Po ścianach tylko i gotyckich krużganków kolumnach, nowy właściciel porozpinał latorośl winną, bujnie pod tem szczęśliwem niebem rozrastające się bluszcze ciemne i powoje, a na pochyłości wzgórza założony ogród, ocieniał tę budowę malowniczą, wznoszącą się ponad murami, ubranemi w urny kamienne i obwieszonemi kolczystemi aloesów krzakami.

Biegłem tak prędko, żem zbliżywszy się do willi, dech postradał i siły: musiałem usiąść na kamieniu, by odpocząć nieco i obejrzałem się dopiero teraz, że w stroju, w którym wyszedłem, opylony, zbrukany, odarty, nie będę mógł nawet przedstawić się hrabinie.

Słońce paliło ogniem, musiałem pod cyprysami szukać przed niem schronienia, i oparłszy głowę o ręce, pozostałem chwilę w jakiemś odrętwieniu sennem, rozkosznem, upajającem: boleść moja przechodziła w szał weselny.

Nagle śmiechy i rozmowa, której wybuchy wiatr ku mnie przynosił, obudziły mnie z marzenia: podniosłem głowę, i ujrzałem przed sobą hrabinę stokroć piękniejszą niż kiedy, w towarzystwie nieznajomego mi mężczyzny, jadącą konno od willi ku miastu. Byli sami, szczęśliwi,

a z oczów ich poznać było łatwo, że mówili o tem, co mnie najwięcej boleć mogło. Czarne jej źrenice wlepione w pięknego jeźdźca, który jej towarzyszył, słodko, z wyrazem uczucia, za którego szczerość przysiądz było potrzeba, patrzyły nań z natężeniem. Domyśliłem się, że ta nowa zabawka hrabiny dopiero ją zajmować zaczynała, że była w pierwszym perjodzie rozkochania, gdy jeszcze cały zasób swych wdzięków, zalotności, dowcipu, roztaczała przed oczyma zdumionego towarzysza, który zdawał się oczarowany, przelękły i rozentuzjazmowany.

Signor Conte, Włoch, jakem później dowiedział się, który z nią jechał, poglądał na to bóstwo, niedowierzając oczom swoim, nie śmiejąc szczęścia, jakie go spotkało, mierzyć, i bojąc się by mu z przed oczu jak mgła się nie rozwiało. Był to niewolnik podbity i związany.

Hrabina jechała z tej strony właśnie, z której ja siedziałem. Koń jej postrzegłszy mnie, wzdrygnął się i oznajmił, że tam coś było pod cyprysem: inaczej nie byłaby mnie dojrzała może, tak serdecznie uśmiechała się do swego towarzysza. Z krzykiem chwyciła lice i odwróciła się ku mnie; oko jej spotkało się z mojem wejrzeniem, bladość okryła twarz: podniosła głowę dumnie, i surowo tylko mijając spojrzała na tego, którego Signor Conte jak żebraka, jak włóczęgę klął w swoim języku.

Chociaż przekonany jestem, że poznać mię musiała, drgnęła tylko nieznacznie, i nie rzekłszy słowa, chłodno, nie okazując najmniejszego wzruszenia, minęła mnie szybko, puszczając się kłusem drożyną do Florencji.

Postanowiłem czekać jej powrotu, ale nie mogąc wytrwać na żarze słonecznym, słaby, zwlokłem się do bliskiej karczemki, nieopodal od drogi. Cały dzień, długi, nieskończony, głuchy jak śmierć, przesiedziałem tu w progu, a Włosi chodząc koło mnie, musieli wziąć za obłąkanego, bo mi się z jakimś przypatrywali przestrachem.

Żem się do rozmowy ich mięszać, ani na pytania odpowiadać nie chciał, i sam o nic nie badał, dali mi w końcu pokój. Ku wieczorowi już postrzegłem tylko z parą koni powracającego, zapewne z Cascine, masztalerza do willi, a późną już nocą, gdy gwiazdy zeszły, i świecące muszki po krzakach lauru i granatów ulatywać zaczęły, szybko przesunęła się koło mnie kareta, w której domyśliłem się tylko powracającej hrabiny.

Nie miałem na co oczekiwać dłużej; powoli powlokłem się do miasta, i stanąwszy nad rankiem, napisałem do niej list szalony, wymowny, błagalny. Musiałem z nim posłać pieszego chłopaka, który powoli wlokąc się i zabawiając po drodze przy bramie każdej willi z rówieśnikami, gdy ja w śmiertelnym oczekiwałem nań niepokoju, powrócił dopiero drugiego dnia z małą karteczką, nakreśloną naprędce.

To mówiąc Wojtek, dobył starego, zszarzanego pugilaresu, który na piersiach nosił, rozwiązał go i ze zwitka papierów dostał ostrożnie bilet, który mi przeczytał.

List ten hrabiny w niewielu zawierał się słowach:

„Nie pojmuję, jakiem prawem ścigasz mnie pan i prześladujesz; jeśli trochę okazanej litości dało mu po-

wód do tego, żałuję mojej dobroci i wyrzucam ją sobie. Widzieć się z panem nie mogę, nie chcę, nie powinnam; postępowanie jego jest niegodne, oburza mnie i gniewa. Przestrzegam, że dalsze usiłowania wciśnienia się do mnie, może najprzykrzejsze dla pana wywołać skutki, których ku obronie mojej użyć będę zmuszona. Proszę pana abyś mnie uwolnił od scen tragicznych, których grać sobie nie życzę.“

Wszystkiegom się spodziewał, ale nie tego tonu, nie tej groźby, nie tak nielitościwego odepchnienia. Włosy powstały mi na głowie, oczom nie chciałem uwierzyć.

Natychmiast siadłem do niej pisać znowu, goręcej niż wprzódy, błagając ją o chwilę tylko, o chwilę rozmowy. Widzieć ją, odzyskać złudzenie, skłamać sobie błysk szczęścia, pragnąłem. Odmalowałem jej, com cierpiał: mój stan, osierocenie, boleść, tak wymownie, że, kamień byłbym poruszył, lecz nie wiem, czy na ten list rzuciła okiem!

Po wiekowem znowu oczekiwaniu, odebrałem drugą odpowiedź na rozdartej kopercie nakreśloną, w której raz ostatni dozwoliła mi widzieć się z sobą i naznaczyła godzinę wieczorną w tej samej cyprysowej ulicy, gdzie ją dniem jadącą spotkałem.

Potrzeba znać słabości ludzkie, ażeby sobie przedstawić, z jakiem serca biciem pobiegłem czekać tej godziny błogosławionej, zapomniawszy goryczy, jakiej doznałem przed chwilą, pomnąc tylko, żem ją kochał, żem mógł upaść jej do nóg i błagać, by mi choć sługą za sobą zdaleka iść i patrzeć na siebie dozwoliła.

Wieczór, przez którego cały czas musiałem oczekiwać w progu karczemki, wydał mi się nieskończonym; zmrok padał, niebo po nad dalekiem gór pasmem chmurami się okrywać zaczynało, gdym jak złodziej ku willi się przekradał. Błyskawice blade, i przelatujące obłoki napełniając obawą, że wstrzymać mogą hrabinę, przerażały mnie i niecierpliwiły: byłbym ku niebu jak ów Cezar szaleniec rzucił kamieniem. Usiadłem, oczekując w niemej rozpaczy, a pot zimny oblewał mi skronie.

Nie wiem jak długo tak siedziałem. Cisza głęboka przerywana tylko oddalonemi grzmotami ciężyła nad okolicą, a widok z tego wzgórza cieniów nocy, rozdzierających się niekiedy błyskawicą, na której tle czarny profil gór się malował, miał w sobie coś Dantejskiego.

Przeczułem ją niż dojrzeć mogłem, i porwałem się cały drżący; powiało na mnie jakby oddechem z innego świata. Biała postać wolnemi krokami poważnie się zbliżała ku miejscu, w którem siedziałem. Może w jej duszy zimnej była choć iskra litości, bo szła powolnie, z obawą jakąś i wahaniem, jakby lękała się mnie zabić i cios zadać ostatni.

Stałem jak cień skazanego na śmierć, milczący i blady.

— Na co pan mnie i siebie narażasz! — odezwała się tłumionym głosem zbliżając się; — godziż się to, korzystajac z chwili miłosierdzia i słabości kobiecej, truć życie zapłatą za chwilę szczęścia? Jestem-że obowiązaną być wiecznie niewolnicą, za to, żem raz litość miała?

Nie wiedziałem co jej odpowiedzieć.

— Pani, — odezwałem się nareszcie, — wszakże ja nic nie żądam, o nic nie proszę, tylko o trochę jeszcze litości! Pozwól mi patrzeć na siebie zdaleka, w milczeniu, pozwól się łudzić i żyć, ulituj się nad człowiekiem, który bez ciebie umrze i zginie.

— Bezemnie żyć będziesz lub nie, nie wiem, — odpowiedziała, — ale przy mnie cierpieć musisz i mnie dobijesz; chcesz więc przez samolubstwo ofiary, do której ja nie czuję siły? chcesz mi ją wydrzeć? nakazać? przymusić do niej? A! to niepojęta! — dodała z zapałem, — taka zawsze jest miłość wasza! Pod pozorem poświęcenia krew z nas wyssysa, truje i zabija!

— Na Boga, pani! — przerwałem, — ja żadnej nie chcę ofiary! jam gotów na wszystko, nie wypędzaj mnie tylko...

— A jeśli widok twój jest dla mnie wyrzutem, męczarnią, bolem?

Przyznaję, rzekł Wojtek głosem wzruszonym, żem na te słowa krzyknął i począł płakać tak rzewnie, jęczeć tak straszliwie, że hrabina niespokojna zbliżyła się ku mnie, hamując głos, który mógł ją wydać, i dłoń swą położyła na mych rękach. To dotknięcie jej uśmierzyło nagle, magnetycznie cierpienie: padłem na kamień milczący.

— Lauro, — rzekłem w ekstazie, — powiedz mi, jesteś ty aniołem niepojętym, Boga posłańcem, czy szatanem kusicielem? Jaka w tobie spoczywa siła? Kto cię z nią zesłał na ziemię? Masz ty serce? Masz litość? Masz uczucie, któreby nad sekundę dłużej trwać mogło? Powiedz!

Chwilę milczała i zmienionym odezwała się głosem:

— Ja sama nie wiem kto jestem, dokąd idę, co mnie pędzi: zła czy dobra siła, ku niebiosom, czy przepaści? Są chwile, w których się czuję białą i czystą: są godziny, w których nienawidzę siebie, a nie ma dwóch dni mojego życia do siebie podobnych, dwóch bicia serc jednakowych, dwóch poranków, któreby z jedną w duszy zaszły myślą. Dla czegoż chcesz od kobiety takiej jak ja, czego ci ona dać nie może? Miałeś swoją godzinę, rzuciłam ci jałmużnę szczęścia: czyż mam oddać wszystko? Dla mnie ludzie są jak owoce, których pożądam, póki ich nie skosztowałam: przyłożę usta i rzucam, a z ziemi nie podniosę łupiny.

Słuchałem jej osłupiały.

— Oto masz spowiedź moją, — dodała z uśmiechem pychy jakiejś, — może jedyną, jaką uczyniłam w życiu: niech cię rozczaruje, niech mnie poniży, ale niech uwolni. Idź! uciekaj, gardź mną, ale nie dręcz mnie nieszczęściem swojem. Zapomnę ciebie i występku mojego, gdy mi z oczów zejdziesz! Ty nie masz litości!

— A dlaczegożbym miał się litować? — przerwałem; — ja sam boleję, a nikt, nawet Bóg nie ma miłosierdzia nademną! Nie! — zawołałem głośniej, — nie zejdę ci z oczu, pójdę za tobą, gdzie pójdziesz, powlokę się jak żebrak, jak nędzarz stanę ci na drodze życia; znajdziesz mnie wszędzie: wśród zabawy, u łóżka dziecięcia, na balu, w kościele... Gdzie mnie nie będzie, obawa pójdzie za tobą, cień mój stanie ci w oczach!

— Ha! wypowiadasz mi więc wojnę? — spytała.

— Nie! nie! ja proszę jałmużny!

— Jak żebracy Gil-Blasa, z szturmakiem nabitym u pasa! — odparła szydersko, — lecz wiedz, żem nigdy nie ulękła się w życiu: wyzwana potrafię mścić się i obronić, pamiętaj! Znasz mnie: jeśli raz ujrzę cię jeszcze, możesz być pewien, że więcej mnie nie zobaczysz. Na warjatów są szpitale...

Odstąpiła kilka kroków, ale widać było że drżała i wielka jej odwaga była raczej nadrobioną niż prawdziwą. W milczeniu staliśmy chwilę.

Zniecierpliwiona Laura darła koniec batystowej chustki.

— Mówmy chłodniej, — odezwała się łagodząc głos, i znowu przybliżając się nieco, — czego pan żądasz odemnie?

— Byś mi pani widzieć się nie broniła.

Ruszyła ramionami.

— To niedorzeczność, — rzekła, — to niewola, to nieznośne; ale ja widzieć pana nie chcę!

— Pani! ja cię widzieć muszę, lub umrę.

— Więc umrzej, — odpowiedziała chłodno. — Ten człowiek doprawdy oszalał.

Spostrzegłszy, że się oddala powoli, że może na wieki ją tracę, skoczyłem oszalały i dognałem idącą zwolna, porywając za rękę ze wściekłością prawie.

— Tak! — zawołałem, — umrę, umrę, ale ciebie zabiję także, któraś mi odebrała najświętsze, najczystsze uczucia, aby je rzucić splugawiwszy; ciebie, coś mi wydarła wiarę w kobiety, w miłość, w serce ludzkie, w miłosierdzie, w człowieka i Boga!

Przestraszona hrabina usiłowała mi się wyrwać, ale namiętny uścisk, dłoń jej żelaznem opasał kołem; gdy głos jej zmieniony, przypominający mi dawne chwile, odezwał się słodko:

— Albercie, toż to jest miłość twoja?

Siły mnie opuściły, zakryłem twarz rękami, a gdym oczy odsłonił, już hrabiny przy mnie nie było. Cała ta scena nocna jak gorączkowe widmo grała mi jeszcze w rozmarzonej głowie: puściłem się idąc bez celu, nie wiedząc dokąd i po co.

Kilka razy padałem po drodze, kładłem się, wstawałem i chwilowo postradałem przytomność.

Brzask dnia szary i dźwięk rannego dzwonka z klasztoru Fiesolańskiego, obudziły mnie nareszcie; oprzytomniałem, trafiłem na drogę straconą, i powoli powlokłem się ku Florencji.

Zbity i znękany wróciwszy do swojej izdebki samotnej, musiałem ledz na łóżku i kilka godzin, więcej może, pozostałem w stanie jakimś nieokreślonym, chorobliwym. Gorączka sercowa byłaby może wzmogła się silniej, gdyby ciało znużone nie powstrzymało jej wybuchu; byłem osłabiony tak, że się ruszyć prawie nie mogłem, a ku wieczorowi febra, skutek wzruszeń i nocy spędzonej pod gołem niebem, trząść mnie poczęła gwałtownie.

Powitałem chorobę z radością, bo mi życie przykrym było ciężarem, a nie uznawałem i nie przyznaję człowiekowi prawa do wydarcia sobie tego, czego dać sobie nie może. Leżałem w paroksyzmie długo, ale gdym

powstał, pierwszą myślą moją była Laura i zerwałem się z łóżka, by ją szukać.

Dni moje podzielone były na dwie części: jednę zajmowała trawiąca mię choroba, drugą ściganie hrabiny, której śladami chodziłem, nie spuszczając jej z oka. Wyznawała ona teraz wielkie uwielbienie dla sztuki i część znaczną czasu spędzała w muzeach, po kościołach i galerjach. Tu na każdym kroku spotykała mnie przed sobą...

Patrzała na obrazy i pomniki: ja stawałem i patrzyłem na nią; wychodziła, biegłem za powozem i znajdowałem się zawsze gdzie była. Udawała z razu, że nie postrzega, ale w końcu twarz jej zdradzać poczęła zniecierpliwienie: odwracała się często szarpiąc na sobie suknię, mówiła głośno i wesoło, aby udać, że ją to nie obchodzi, ale gdym na chwilę znikł jej z oczu, widocznie z przestrachem szukała tego widma, które ją ścigało wszędzie.

Nie zbliżałem się do niej więcej, anim szukał rozmowy niepodobnej już między nami, ale milczący, uparty, straszny zmęczeniem i chorobą, jak mściwy upior Komandora zjawiałem się, gdzie tylko ona się pokazała. Maluczkie obeznanie z życiem miejscowem, nauczyło mię trafnie szukać jej śladów, a tam, gdzie za nią pójść nie mogłem, przynajmniej wchodząc i wychodząc znajdowała mnie u drzwi, na progu, przed wschodami.

W teatrze moja twarz zjawiała się jej pierwsza; na Cascine stałem naprzeciw powozu, a ze zmianą kierunku jej oczów, odmieniałem miejsce; w Uffizi błąkałem się w ślad jej kroków i tak wszędzie. Dla mnie widze-

nie jej było zarazem rozkoszą i męczarnią, rodzajem nasycenia i zemsty: budziło ono i dawne uczucie przywiązania, i świeżo wylęgłą nienawiść.

Z razu myślała może, iż się znużę, nie wytrwam lub ustąpię: usiłowała mnie przekonać, że na niej żadnego nie czynię wrażenia, ale codzień w końcu widoczniejszym stawał się jej niepokój.

Otaczający ją postrzegli także tę postać dziwną, bladą, straszną, z wlepioną w nią źrenicą, ścigającą wszędzie; mnie wzięli za szaleńca, ale tym ulicznym kochankiem prześladując żartem hrabinę, drażnili ją niewymownie. Musiała ich w końcu jakąś historją na prędce utworzoną zaspokoić.

Byłem więc przedmiotem ciekawości i politowania, uważany za warjata, i choć widocznem mi się zdało, że mnie za obłąkanego mają, mało na tem cierpiałem.

Trwało to nie wiem jak długo, a choć żyłem najoszczędniej, bom pracować nie mógł z razu, a bał się ostatni grosz wyczerpać, postrzegłem, że mi wkrótce żebrać przyjdzie, jeśli o sobie nie pomyślę. Nocą więc znalazłem zajęcie w jakiejś drukarni, i na chleb powszedni prawie wystarczający zasiłek sobie zapewniłem.

Gdym się tu już tak usadowił, jednego dnia hrabina znikła mi całkiem z Florencji, a chłopak, który ją dla mnie śledził, doniósł, że z willi wszyscy się wybrali do Rzymu. Natychmiast rzuciłem wszystko, zebrałem resztę mojego grosza, i puściłem się w drogę, starając dostać się jak najoszczędniej do stolicy świata.

Tu także Contessina robiła *furore*, iż mi ją łacno znaleźć przyszło; zajęła mieszkanie w jednym z najpię-

kniejszych domów na Corso, i wieczory jej, przyjęcia, piękność, dowcip, doskonałe uczuty lub odegrany entuzjazm na widok grodu Cezarów, otoczyły ją zaraz gronem wielbicieli, i usłużnych przyjaciół. W ich dworze jak królowa, poprzedzana, ścigana, opasana kołem najpierwszego w Rzymie towarzystwa, zwiedzała ruiny, gmachy, szczątki starożytne i co tylko stolica miała w sobie, z wielką pompą i szumem. Ciekawi dowiadywali się na kilka dni wprzód, gdzie się o jakiej godzinie znajdować miała, i biegli oglądać tę zachwycającą piękność, podsłuchując wyroków i deklamacji, które potem wieczorami powtarzano po całem mieście.

Wchodziła na Capitol jak tryumfatorka, gdy pierwszy raz spotkała mnie tu stojącego u wschodów, opartego na kiju, i uśmiechającego się wygraną także; widziałem jak stanęła, zadrżała, pobladła, i składając wzruszenie na wspomnienie tych miejsc, na których scenie odgrywały się długo dzieje świata, poszła dalej ze spuszczoną smutnie głową. W tłumie poszedłem i ja za nią; stanęliśmy razem przed ranionym gladiatorem, a wszyscy wskazując jej to arcydzieło, zmusili niejako do zatrzymania się przed niem.

Mnie na widok tego posągu może raz pierwszy od dawna uczuciem innem, nowem zadrgało serce; łzy rzuciły się do oczów, stanęła przed niemi przeszłość, przecierpiane lata, i ta rana, z której konałem na arenie pustej, bez widzów, w obliczu Boga tylko, który mógł niewdzięczne dziecię odepchnąć.

Uczułem brata w tym gallijskim czy sarmackim niewolniku, duszę w tym marmurze, i jakby pociechę,

że przedemną na świecie byli, co tak umierali niczyją nie podparci dłonią, ze zwieszoną głową, która na świat barbarzyński, sypiący śmierci oklaski patrzeć nie chciała. I ona mimo wzruszenia jakiego doznała na mój widok, uczuła coś w tym kamieniu więcej nad piękną rzeźbę, oko jej także łzą zaszło; ale jakiś Marchese tak silnie obładowywał ją erudycją z powodu posągu, że jej się nie dał rozpatrzeć w tem, czego ja opuścić i rzucić nie chciałem, jak gdybym brata znalazł.

Na chwilę cudem, trafem, czy umyślnie, bo hrabina umiała rozkazywać tak, że jej skinienia, nie pytając przyczyny, słuchano, zostaliśmy sami, a raczej we troje: ona, ja i gladiator konający.

— Pan więc postanowiłeś sobie ścigać mnie? — odezwała się śmiało podnosząc głowę, — dręczyć, upokarzać i mścić się.

— Spojrz pani na kata, czy jest do niego podobny, — odparłem; — ja i ten nieśmiertelny gladiator wyglądamyż oba na prześladowców czy prześladowanych? To, co widzisz w nim, jest we mnie, ale zamiast pięknego kształtu, odziane łachmanem, śmiesznością i nędzą!

— Liryzmu dosyć już nasłuchałam sie od pana, — odparła żywo, — jedno tylko pytanie: ustąpisz pan czy nie?

— Każ mnie pani zabić swoim zbirom, — zawołałem, — bo póki żyję cieniem pójdę za tobą!

— Chcesz więc przywieźć mnie do ostateczności?

— Ja już do niej przywiedziony jestem.

— Ale to istotne szaleństwo...

— Smutne.

— Chcesz swej zguby? jeszcze raz? — powtórzyła, gorąco zaciskając usta.

— Idę do niej oddawna...

— Sam na siebie wyrok wydałeś.

To mówiąc, rzuciła na mnie wejrzeniem strasznem, i powolnym poważnym krokiem, przesunęła się do drugiej sali, w której na nią czekano, znowu uśmiech tęskny przywołując na usta.

Ja zostałem jak wryty sam na sam z gladiatorem. Nie powiem co marmur mi mówił, ni co ja wyspowiadałem jemu; alem wyszedł z wrażeniem dziwnem, jakby po rozmowie z bratem rodzonym, jakby po skardze przelanej do uszu matki, jak po błogosławieństwie kapłana.

Lżej mi było na duszy: chłód tej kobiety zdjął wreszcie ze mnie część uroku, jaki jej piękność rzuciła; kochałem ją jeszcze, ale nienawiść i pogarda brały górę nad miłością.

Nazajutrz znaleźliśmy się w Coloseum; ona modliła się pod krzyżem, ja z góry, z obwalonej ławy patrzałem na nią z dawną żądzą i nowym jeszcze budzącym się dopiero wstrętem. Wstając podniosła oczy i znalazła mnie znowu nieruchomie wlepiającego w nią źrenice wypłakane; drgnęła tylko i poszła dalej.

Wieczorem powracałem spokojnie do mojego mieszkania na Babuino, gdy jakiś nieznajomy, jak cień idący za mną od kilku godzin, przysunął się grzecznie do mnie, prosząc dla pilnej sprawy z sobą...

Z litości i największemi w świecie względy na moje nieszczęście, zamknięto mnie w domu obłąkanych.

Jak to się stało, kto mnie uznał godnym straży i opieki, nie wiem ani się chcę domyślać; zresztą zasługiwałem na to, co mnie spotkało, nie przeczę.

To mówiąc Wojtek nalał sobie jamaiki do nowej szklanki herbaty, i chciwie niósł ją do ust spalonych, gdy gwałtowny paroksyzm kaszlu z rąk mu ją wytrącił.

Obłąkane jego oczy krwią nabiegłe, twarz blada, wypieczonym w tej chwili napiętnowana rumieńcem, drżące ciało, pot oblewający skronie wychudłe, czyniły go tak straszliwym, żem mimowolnie ratując go zadrżał na widok tego, co namiętność uczynić może z człowieka.

Gdy odszedł nieco, nie śmiałem go zapytać więcej i milczeliśmy długo; a że noc była późna, prosiłem by u mnie przyjął gościnę. Nie chciał się jednak kłaść wcale i pozostał drzemiąc w krześle. Chociaż sen chwilami kleił mu powieki, wewnętrzne wzruszenie odpocząć nie dawało. Zrywał się co chwila i oglądał z przestrachem, jak gdyby szukał czegoś w koło siebie.

Dniało już, a jam pilnując go nie spał jeszcze, gdy wstał i przechadzać się począł.

— Nie pytasz mnie nawet o dalsze moje dzieje? — spytał powoli.

— Lękam się, aby cię ich opowiadanie nie poruszało zbytecznie.

— Mnie dziś już nic nie może wzruszyć, — przerwał, ani mi przysporzyć cierpienia... Serce jak skóra na ciele stwardniało...

— Jakżeś powrócił do kraju? — spytałem po chwili.

— O kiju, pieszo, żebrakiem. Po kilku tygodniach wypuszczono mnie ze szpitalu. Hrabiny już nie było

w Rzymie, pojechała do Sycylji, a ja nie miałem o czem wiedz się za nią, nie miałem nawet chęci spotkać ją jeszcze. Gladiator widokiem ostatniej boleści, moją dziecinną uleczył... Przebaczyłem jej, zapłakałem, zapomniałem...

Mówił to uśmiechając się smutnie, ale z głosu jego i twarzy znać było, że ją jeszcze zawsze pamiętał], że głos Syreny brzmiał mu w uszach, a piosnka szczęścia w sercu.

Rozstaliśmy się nazajutrz: ja z bolem głowy, on tak chory, żem go musiał zawieźć do ubogiego mieszkania, bo o swej sile iść nie mógł. Kilka dni potem, nie ruszył się z domu, i pracował pogrążony w zadumie, z której go wyrwać było niepodobna.

Myślałem właśnie jakimby środkiem ratować go było można, gdy w tydzień później, sam już, nieco zdrowszy, przywlókł się do mnie wieczorem.

— Chodźmy do teatru! — rzekł z gorączkową jakąś żywością, — do teatru! Kupisz mi bilet, to mnie rozerwie: zawsze teatr lubiłem bardzo. Najprzód na scenie świat lepszy, kobiety bielsze, meżczyźni wymowniejsi, miłość żywsza, i we dwie godziny największemu utrapieniu koniec: to zawsze wygodniej niż u nas. Powtóre, gdyby nie na scenę, ale na widzów patrzeć: co twarzy, co ślicznych idealnych postaci, na których tak wygodnie uczepić marzenie, przypiąć im skrzydła anioła, i serce w piersi włożyć dyamentowe!

— Chodźmy! chodźmy, najchętniej, — zawołałem, — byle gorąco ci nie zaszkodziło, jestem na usługi.

Wyszliśmy. W wielkim teatrze grano operę, nie wiedziałem nawet jaką, bom z rana afiszu nie czytał, ale mi to było wszystko jedno, byle Wojtka rozerwać. Sala była napełniona i po tem poznałem, domyślałem się „Halki.“ Jeden ten raz w życiu nie rad jej byłem.

Smutna to historja, a z odpowiednią muzyką, pełną rzewności głębokiej płynąc do serca, porusza, zostawia wrażenie wielkie, jakby przecierpianej rozkosznej boleści.

Wojtek już od poloneza miał łzy w oczach, ale z innej przyczyny: przeszłość stanęła przed nim żywa ze szklanką w ręku, jak mówił, gdy wcale inaczej widzieć by ją był pragnął.

Spiew Halki za sceną wzruszył go jeszcze więcej: postrzegłem jak pobladł i konwulsyjnie pochwycił za krzesło. Domyśliłem się, że imię Halki przywieść mu na pamięć musiało tę cichą a nieszczęśliwą istotę, której się wypłacił obojętnością zimną. Ale nagle, jakby siłą magnetyczną porwany, wzrok jego, który błądził z roztargnieniem po sali, padł na bliską nas ložę parterową, i utkwił w niej osłupiały. Obejrzałem się mimowolnie, a choć mi nikt nic nie mówił, przeczuciem odgadłem hrabinę; wejrzenie na Wojtka powiedziało mi to wyraźniej, niż jej piękność i urok, któremi jaśniała.

Skromnie, ale z niezmiernem staraniem ubrana, nieznajoma czarnooka siedziała niedbale przypatrując się scenie, przysłuchując pieśni. Niewymownie była piękną, a że światło wieczoru nie dozwalało dojrzeć znużenia na twarzy, ni wieku na licu, wyglądała na ledwie rozkwitłą w całym blasku młodości dziewicę. Wyraz nie zdradzał najmniejszej zalotności, owszem zdawała się bojaźliwą i

skromną, unikającą wejrzenia, tulącą się od ludzi. Niekiedy tylko przelotnie czarnemi oczyma przebiegła po ludziach, jak zwierz, co szuka pastwy, i kryła je białemi powieki, długiemi rzęsy przyćmionemi.

Kilku mężczyzn po większej części młodych otaczali ją, stojąc z uszanowaniem na straży królowej, która czasem raczyła wejrzeć na nich, i znowu roztargniona poglądała na scenę.

Wojtkowi twarz się mieniła, rumieniła, bladła: drżał cały, niecierpliwił się, dyszał, obawiałem się, by mi sceny jakiej nie zrobił w teatrze, tak się zdawał poruszony. Na chwilę nie spuszczał z niej oka. Nie wiem czy ona go postrzegła, ale z uparcie mijającego nas wejrzenia, które po reszcie teatru ciekawe robiło wycieczki, domyślałem się, że poznała nieprzyjaciela.

Po drugim akcie, nie dopatrzyłem się, jak Wojtek znikł mi nagle; wyszedłem szukać go i z nadzwyczajnem zdziwieniem postrzegłem po chwili siedzącego w loży hrabiny, która z uśmiechem zwrócona ku niemu, rozmawiała z nim uprzejmie.

Po tem wszystkiem, com słyszał od niego, nie mogłem pojąć tego wypadku. Wkrótce wyszedł z loży, ale do krzeseł już nie powrócił. Zakłopotany o niego, napróżno starałem się go wynaleźć i powróciłem do domu z największym niepokojem. Rano pobiegłem do mieszkania, alem go już tam nie znalazł; ludzie jacyś zabierali i pakowali jego rzeczy. Dowiedziałem się od nich, że się przenosił do hrabiny.

Wytłumaczenie tej zagadki mocno mię zajmowało; Wojtek widocznie mnie teraz unikał; nie mogłem pojąć

co się z nim działo, ale musiałem czekać zręczności jakiejś, by się znów zbliżyć do niego. Upłynęło dni kilka.

Przechodząc przez Saski ogród, spotykam pożądanego Wojtka, bladego, słabszego niż kiedy, z kaszlem nie dającym się na chwilę przytłumić, i łapiąc go, gdy widocznie starał się mnie ominąć, udając, że nie postrzega.

— Na Boga! — zawołałem, — co się z tobą dzieje? gdzieś się podział? co robisz? dla czego uciekasz odemnie?

— Wstydzę się... — rzekł zakłopotany.

— Czego? — spytałem.

— A tych moich głupich wyznań przed kilką dniami. Nie wiedzieć co ci poplotłem rozmarzony i znękany.

— Jakto?

— Słowa prawdy w tem nie ma. Hrabina jest aniołem! to potwarz gorączkowej wyobraźni mojej! Istota nieszczęśliwa, czysta, zacna, święta, anioł, kochany przyjacielu, anioł, który zstąpił na ziemię!

Stanąłem nie wiedząc czy śmiać się, czy litować nad biednym.

— Sam nie wiedziałem com plótł, obwiniając ją, — zawołał z żywością nadzwyczajną, która kaszel gwałtowny sprowadziła, — chory byłem, pomięszany, niewdzięczny! Powtarzam raz jeszcze, to anioł! Zupełnie fałszywie tłumaczyłem sobie wszystko: ona mnie kochała i kocha, jestem szczęśliwy; ale pozory, ludzie, potrzeba ukrywania tego uczucia przed światem, słowem jestem

winowajcą największym, — dodał przerywanym głosem, — żem śmiał nawet ją posądzać.

Nie było co odpowiedzieć na to, ruszyłem ramionami patrząc mu w oczy. Nagle sposępniał.

— Proszę cię, — rzekł, — niech to, cośmy mówili, zostanie w najgłębszej tajemnicy: zdaje mi się, że chwilowo istotnie byłem obłąkany, a nadewszystko rozdrażniony, niesprawiedliwy i występny. Ale ty, — przerwał, — zdajesz się niedowierzać mi? wątpisz? szydzisz?

— Co za myśl! — odparłem z politowaniem.

— Ludzie bo zawsze łacniej wierzą, — rzekł z oburzeniem, — złemu niż dobremu: jam ci tyle nagadał! Nie pojąłem tej kobiety, nigdy nie byłem jej godzien; przyjacielu daruj mi.

— Szczęśliwy jestem, że cię w takiem usposobieniu znajduję, — odpowiedziałem, — ale cóż dalej zamierzasz?

— Ja! — zawołał puszczając się zaraz we właściwe suchotnikom projekta dalekie, — naturalnie zostaję przy Władku aż do końca jego wychowania; on i ona najmocniej sobie tego życzą; potem pojadę z nim za granicę.

Oczy mu błyszczały gorączką.

— A! — dodał ściskając ręce moje, — jak jestem szczęśliwy: widzieć ją co dzień, obcować z tą czystą i wielką duszą, jakiej podobnej nigdy jeszcze Bóg może nie utworzył; patrzeć w jej czarne oczy, słyszeć głos jej anielski, dzielić się z nią myślą powszednią! Mógłżem marzyć nawet kiedy, bym z Łazarza wyszedł na króla?

— Ale daruj mi, — przerwał patrząc na zegarek, — spieszę do niej: czeka na mnie, czytać dziś będziemy

Dantego, którego ona tłumaczy! A jak go pojmuje, jak rozumie! jak czuje! O mój Boże!

Wyrwał mi się po tych słowach, i spiesznie pobiegł Saskim placem do Europejskiego hotelu.

W parę dni spotkaliśmy się znowu na Miodowej ulicy; wracał z książkami pod pachą, wyświeżony, ale kaszlący i coraz mizerniejszy: ledwiem go mógł pochwycić na chwilę.

— Cóż się z tobą dzieje? — zapytałem.

— Szczęśliwi ludzie, jak narody szczęśliwe nie mają historji, — odpowiedział mi z uśmiechem.

— A! a!

— Tłumaczę z nią Dantego, a raczej ona go tłumaczy ze mną; chce go wydać, pracujemy, jesteśmy już w Czyścu.

— Nie w piekle? — spytałem z uśmiechem.

— Jutro wchodzimy do raju! — odparł zachwycony, — ja i Beatryksa!

— Jedno tylko pytanie, — rzekłem widząc, że się spieszy. — A Halka?

— Halka, — odpowiedział obojętnie, — a! tak! nie wiesz! od pół roku jest w nowicjacie Panien Miłosiernych. Zimnej tej naturze, — dorzucił, — nic lepiej nad regularne życie klasztorne przystać nie mogło.

— Widziałeś ją?

— Nie chcę jej przeszkadzać w zajęciach, które pełni z gorliwością nadzwyczajną. Ale bądź zdrów, bo mógłbym się opóźnić.

I pobiegł spiesznym krokiem.

Na czas dość długi straciłem go z oczów, bośmy się tylko spotykali na ulicy, kłaniając z daleka; nie miał najmniejszej ochoty zaczepić mnie ani słowem, uśmiechał się — uciekał. Potem dowiedziałem się, że hrabina wyruszyła na wieś. Niekiedy opowiadanie biednego Wojtka przychodziło mi na myśl, bo przedstawiało ciekawy a rzadki fenomen rozdwojenia człowieka w duszy, namiętności pojmującej się, gardzącej sobą i niedającej się niczem zwyciężyć. Chwilami, jak na Capitolu przy posągu gladiatora umierającego rozum zwyciężał, to znowu niepohamowane uczucie... W tej ślepocie bezrozumnej było dla badacza coś, co ją poszanowania godną czyniło — to wiara w lepszego człowieka, w ideał na ziemi, niepokonana, niezwalczona, uparta... rzekłbym niemal heroiczna. Człowiek, kobieta ukazywał mu się w całej swej szkaradzie i nędzy, duch przecie wierzył, iż pod powłoką Joba tego, skryty był anioł białoskrzydły, który z poczwarki uleci... Wojtek wart był lepszego losu: jeśli nie wygrania wielkiego losu na loterji ideałów, to przynajmniej chwili, błysku szczęścia i w niej — zgonu.

Kilka lat upłynęło... Szedłem Krakowskiem przedmieściem, gdy naprzeciw siebie ujrzałem coś, kogoś, postać do Wojtka niepodobną, a przecie mi go przypominającą... Gdyśmy się rozstawali, był to tylko cień człowieka wyżytego, wyschłego, spalonego na wskróś, rozgorączkowanego. Nie chciałem wierzyć oczom moim... Owa podobizna Wojtkowa idąca naprzeciw mnie, była tak prozaicznie jakoś pospolitą, dziwnie na szlachcica ze wsi wyglądającą, nawet nieco nabrzmiałą i jakby utyłą, żem się zawahał, czy go przywitać... Stanąłem, spojrzeliśmy sobie w oczy:

— Wojtku! Jak się masz? Zkądżeś ty tu? jak? co się z tobą dzieje?

Zarumienił się mocno ściskając mnie, poczuwszy znać, że z metamorfozy, którą sam czuł w sobie, wytłumaczyć mu się będzie potrzeba.

— No, przecież, chwała Bogu, wyglądasz mi dobrze?

— Tak, tak! — rzekł zafrasowany, — jestem zdrów.

— Gdzież mieszkasz? co robisz?

Wziął mnie pod rękę jakby upokorzony.

— Masz czas? tyś mój przyjaciel przecie, dla ciebie tajemnic mieć nie chcę. Chodźmy gdzie w kąt, to ci całą moją historję rozpowiem.

— Proszę do mnie! — zawołałem.

Pociągnęliśmy prawie milcząco na Mokotowską ulicę, a że dzień był gorący, usiedliśmy w cienistym moim ogródku od strony alei. Uścisnąłem go.

— No, dzięki Bogu, teraz już spokojny o ciebie jestem: widzę cię znowu stąpającego po ziemi i przejednanego z rzeczywistością.

Nie śmiałem mu przypomnieć nawet hrabinej; on też widocznie z trudnością jakąś przystępował do spowiedzi, przypominając sobie zapewne ostatnią.

— Gdzie mieszkasz? — zapytałem.

— Ja?... a no... zawsze w... Darowie... Musiałeś słyszeć, — rzekł spuszczając oczy, — że ten poczciwy hrabia umarł?

— Nie słyszałem! Wielka szkoda!

— W istocie, zacny, poczciwy był człowiek, chociaż takiej kobiety niegodny, bo to jest istota... wyższa.

— Zajmujesz się więc wychowaniem Włodzia? — spytałem.

— Tak, ogólnie, — rzekł, sprzykrzył mi się chleb nauczycielski...

— Cóż robisz?

— Zarządzam interesami hrabinej, jestem plenipotentem jej. Ona nie ma czasu o niczem pamiętać, niczem się zająć, to natura wyborna, — mówił z powagą komiczną, — służę jej ze szczerego szacunku.

— A dawna miłość? (Wojtek był już siny, i twarz jego teraz jakby nabrzmiała, nie godziła się z pojęciem uczucia, którego imię wymówić musiałem z ironią, bo się mój słuchacz zmięszał).

— Uwielbienie! — zawołał z zapałem, — uwielbienie, cześć moja dla tej kobiety, nigdy na chwilę nie ostygły, owszem zwiększyły się jeszcze, poświęciłem życie moje na jej usługi, i jestem szczęśliwy...

— A zazdrość, — szepnąłem, — która ci takie zadawała męki?

Wojtek się zapłonił i zmięszał znowu.

— Mój drogi przyjacielu, — rzekł, — wiesz co Wiktor Hugo powiedział o zazdrości: jest to uczucie, któremu braknie podstawy i logiki, jest to szał zwierzęcy. Kobieta wyższa i dusza szerokoskrzydła, ma inne prawa bytu, inną naturę, inne warunki egzystencji, niż tam jakieś pygmejskie stworzeńka i karlice. Wyjątkowym istotom nieco przebaczyć trzeba, a niekażdy je zrozumie. Ja, przyznaję ci się, niezrozumiałem jej, pojąć nie byłem w stanie, i to wszystkich mych nieszczęść, a raczej niegodziwych szaleństw było przyczyną. Wystaw sobie: ten anioł wszystko mi przebaczył, — dodał składając ręce, — dozwoliła mi napawać się szczęściem widzenia jej, słyszenia głosu... Wprawdzie podzielam je z poczciwym doktorem, ze staruszkiem sędzią, z baronem, z kuzynem Gustawem, ale... ja ich także kocham... dlatego, że oni ją wielbią i kochają.

Przyznam się do tego grzechu, żem z trudnością w ustach mógł uśmiech utrzymać, pokryłem go wszakże kaszlem i chustką, i słuchałem dalej, chociaż mi gwałtownie na pamięć przychodziła smętna historja ogrodnika pani Warrens ze spowiedzi Roussa. Wojtek wydawał mi się czemś do niego podobnem.

— Niepoznałbyś mnie teraz, — rzekł, — jaki ze mnie zapamiętały gospodarz, prawnik, agronom, owczarz! Ale dla miłości tej kobiety zostałbym...

Na ustach miałem tego nieszczęśliwego ogrodnika, szczęściem wstrzymałem się z nim jakoś. Chodziliśmy rozmawiając po ogródku. Wojtek był tak dobrze szalonym jak wprzódy, tylko szaleństwo teraz przybrało formy inne i przyzwoitszą odzież na siebie.

— Nie mogę się wstrzymać od wstydu, — mówił po cichu, gdy sobie przypomnę mój powrót z Włoch i rozmowę moją i tę głupią spowiedź przed tobą; byłem moralnie chory, ona miała słusznie — obłąkany, warjat, fiksat! Niepojmowałem tej kobiety, bom istoty na tę skalę zbudowanej nieprzypuszczał. Istota wyższa! — dorzucił z ogniem. — Dla oczu profanów ona zawsze będzie niezrozumiałą, niepojętą, może nawet dziwaczną. Trzeba wniknąć w tę piękną duszę, aby czołem przed nią uderzyć.

— Zmieniła się też zapewne nieco, przyznaj, — rzekłem zakłopotany, wiek...

— Ona zmienić się! — zaśmiał się Wojtek, — ona jest nieśmiertelną, ona będzie wiecznie młodą, ona dziś gdy chce, wydaje się piętnastoletnią dzieweczką... i w godzinę potrafi być poważną matroną. Niech Bóg uchowa by się ona zmieniła. Tę żywość umysłu, tę potrzebę nienasyconą wrażeń nowych, ten antropofagizm jenialny, który ją zmusza pożerać każdego co się zbliży, co wnijdzie w zaczarowane koło jej życia, zachowała w całej potędze do dziś dnia. Lecz mnie dopiero teraz otworzyły się oczy!

Żal mi, serdecznie żal, — mówił ożywiając się coraz, iż moje pierwsze o niej opowiadanie, mogło ci o niej dać cale fałszywe pojęcie. Byłem ślepy, powtarzam ci, istota wyższa, wyjątkowa, coś majestatycznie wielkiego, szekspierowskiego w charakterze, dla prostych śmiertelników niedostępnego. A! — zawołał, — płaczę, łzy mi tryskają z powiek, że taka cudna kreacja Boża, która się może raz w lat tysiącu zjawia na ziemi, zstą-

piła i objawiła się przedemną nikczemnym, niegodnym, maluczkim. Tylko potęgą uczucia mojego dla niej, stałem się godny tego cudu. Wiesz? największe jeniusze wieku: Wiktor Hugo, Laprade, Tennyson, Heine, Raumer, królowie, cesarze, leżeli u nóg jej w uwielbeniu i zachwycie, i wszyscy ją uznali jedną z tych istot, jakich ziemia nosić jest niegodna... no, a ja — żebraczek... chudzina... — Tu przerwał, zamilkł, głosu mu brakło, uścisnął mnie. — Przyjacielu! — rzekł, — nie żądaj odemnie bym ci więcej powiedział, jam szczęśliwy!

— W istocie, więcej powiedzieć już nie możesz, — rzekłem, — i życzę ci tylko, aby to szczęście trwało jak najdłużej.

Wojtek zamilkł, jam także nie miał co mówić, rozstaliśmy się. Wypuściłem go w aleję, spieszył wełnę swego bóstwa sprzedawać, aby jak najrychlej powrócić do domu.

I więcej już Wojtka nie widziałem; tylko mi długo historja jego nie mogła wyjść z pamięci. Dziś gdym się od niej spisaniem wiernem uwolnił, sądzę że mnie już prześladować nie będzie.

Koniec.